Kurier literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 5

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony

Alkoholizm a kapitalizm

I.

Przeżywamy obecnie zmierzch kapitalizmu na całym świecie, kończący się niebywałą dotąd i nieprzewidzianą jeszcze w skutkach katastrofą bezrobocia. Bezrobocie to, niby olbrzymi pożar, trawi w naszych oczach mienie, siły, zdolności i chęć do pracy miljonów ludzi, a my patrzeć się musimy bezradni na to zniszczenie, nie umiejąc mu zaradzić.

Czem jest ów kapitalizm, który spowodował to straszne zniszczenie? Kapitalizm może być rozpatrywany pod względem prawnym, społecznym i technicznym. Kapitalizm pod względem prawnym oznacza gospodarkę indywidualistyczną, opartą na prywatnej wartości i wolnej konkurencji; pod względem społecznym oznacza on przewagę przedsiębiorcy i pracodawcy nad robotnikiem dzięki kapitałowi, wreszcie pod względem technicznym oznacza on produkcję masową, przeważnie fabryczną na wielką skalę z zastosowaniem maszyn.

Kapitalizm tak pojęty jest to sposób produkcji również potrzebny, jak praca indywidualna w rzemiośle — bez kapitału żadne przedsiębiorstwo nie może się należycie rozwinąć, ani wynalazek zrealizować.

Dlaczego więc atakujemy kapitalizm i przypisujemy mu klęskę bezrobocia? Dlatego, że kapitalizm w tej formie, w jakiej jest obecnie, zwyrodniał, stał się szkodliwym i przybrał formę niemiłosiernego wyzysku.

Stało się to przedewszystkiem dlatego, że kapitalizm współczesny wyrósł na podstawie wolnej, niczem nie krępującej się konkurencji, gdyż powstał w ustroju liberalnym. Nie przebierał przeto w środkach, niszcząc przez to nietylko odbiorców, ale i konkurentów swoich, zwłaszcza tych, którzy liczyli się z sumieniem i przestrzegali prawa. W ten sposób kapitaliści współcześni doszli do takich fortun, że zaczynają być groźni państwu, tworząc t. zw. **finansjerę wszechświatową**.

Doszli oni do tego w ten sposób, że między kapitalistą a przedsiębiorcą powstało bardzo wielu pośredników w postaci bankierów, spekulantów, i różnego rodzaju aferzystów, którzy żyją z cudzej pracy, handlując papierami wszelkich możliwych przedsiębiorstw. Powstała w XIX wieku na wielką skalę spekulacja papierami na giełdzie, które ludzie kupują nie w celu popierania danego przedsiębiorstwa, ale w celu zysku i to zysku bez pracy, nieraz bardzo znacznego — i w tem leży niemoralność ustroju kapitalistycznego.

Wreszcie kapitaliści aby mieć zbyt swoich towarów, wywołują nieraz w ludziach sztuczne potrzeby za pomocą reklamy, a gdy ludzie, zbiedzeni i wyczerpani tym systemem, nie mają już pieniędzy na dalsze zakupy, kapitaliści udzielają im kredytu konsumpcyjnego, który gubi ich do reszty. Następstwem tego są krachy podobne jak w Stanach Zjednoczonych Półn. Ameryki, gdzie kredyt dosięgał olbrzymiej sumy 200 miljardów dolarów, co spowodowało wkońcu upadek kilkunastu tysięcy banków i firm pierwszorzędnych.

Na tych to sztuczkach i zabójczych praktykach polega zwyrodnienie dzisiejszego kapitalizmu, które nazwać można programem wolnego wyzysku gospodarczego, opartego na zasadach liberalnej ekonomji społecznej A. Smitha i Ricarda.

Powstaje pytanie, jak przyszło do tak szpetnego zwyrodnienia kapitalizmu? Jest to pytanie tem ciekawsze, że z rozwiązaniem jego ujawni się przyczyna dzisiejszego kryzysu ekonomicznego.

Otóż stwierdzić dziś możemy z całą pewnością, że kapitalizm w formie obecnej, to produkt stopniowego przekształcania się aryjskiego ustroju gospodarczego pod wpływem zasad i obyczajów żydowskich, jak to wykazał A. Doboszyński w swojej ciekawej książce: „Gospodarka narodowa".

Przyznaje to zresztą najzupełniej żydowski ekonomista Werner Sombart w pracy pt. „Żydzi i życie gospodarcze", wydanej jeszcze przed wojną. Oto co tam czytamy: „Żydzi umożliwili kapitalizm w jego formie dzisiejszej. Nie byłoby ani współczesnego kapitalizmu, ani kultury współczesnej bez rozproszenia żydów w krajach, leżących na północnej półkuli ziemi. (Przedmowa str. IV. i VIII)

Na czem zaś polegał ów wpływ żydowski na współczesną kulturę tłumaczy Sombart w rozdziale VII pt. „Wytwarzanie się kapitalistycznego sposobu myślenia", gdzie czytamy między innemi: „Walka kupców żydowskich i chrześcijańskich jest walką dwóch poglądów na świat, albo dwóch zasadniczo odmiennych kierunków gospodarczych.... „Podług tego (tj. chrześcijańskiego) poglądu środkiem ciężkości interesów gospodarczych jest człowiek, i ta właściwie idea przewodnia panowała nad myślą i czynem. Wszystkie środki, mające na celu umocnienie zjawisk gospodarczych, są skierowane ku jednostce". (str. 118).

„Niczem nie skrępowane, nieograniczone dążenie do zysków uważane było w ciągu całego tego okresu przez większą część gospodarujących osobników za niedozwolone i niechrześcijańskie".

„Każda czynność wypływała bezpośrednio z woli Boskiej, a pojęcie woli Boskiej było wrogo usposobione dla mamonistycznego pojmowania rzeczy, a tem samem chrześcijańskie życie zarobkowe starej daty było ustawicznie normowane przez względy etycznej natury". (str. 119).

„Według poglądu żydowskiego" — czytamy dalej — „sfera działalności jednostki gospodarczej nie powinna być w żadnym kierunku krępowana objektywnymi przepisami, ani pod względem zakresu zbytu, ani pod względem organizacji zajęć, a jednostka gospodarcza posiada prawo wywalczenia sobie, choćby kosztem innych, tak szerokiej sfery działania, na jaką tylko zdobyć się może. Środki walki leżą właśnie w sferze umysłowej, są niemi: podstęp, chytrość i przebiegłość.

„W gospodarczej walce konkurencyjnej nie należy liczyć się z innemi względami prócz Kodeksu Kryminalnego i wszystkie zjawiska gospodarcze kształtować jak najbardziej według osobistych pojęć jednostki". (str. 148-9).

W wyznaniu tem Sombart odsłania nam zupełnie karty polityki i gospodarki żydowskiej, a czyni to zaiste z rozbrajającą szczerością. Stają tu przeto do walki dwa przeciwne światopoglądy — chrześcijański i żydowski.

W światopoglądzie chrześcijańskim człowiekowi przyświeca cel wyższy zjednoczenia z Bogiem i życie z Nim wieczne po śmierci. Celem jego poczynań codziennych nie tyle jest zysk, ile dobro jego własne i jego bliźnich. Chrześcijanin pracuje, aby mógł żyć i utrzymać się na odpowiedniej stopie, dlatego też nie uznaje on dochodu bez pracy. Św. Paweł mówi: „Kto nie chce pracować, niech nie je".

Zupełnie inaczej przedstawia się ta sprawa w światopoglądzie żydowskim. Celem głównym człowieka jest tu zysk, każdy ma tu obowiązek dążyć do zdobycia jak największego majątku.

„Żyd", mówi Sombart — „jako typ prawdziwego kupca, bezwzględnego w interesach handlowych... stawia na **pierwszem miejscu, jako cel zabiegów: zysk**". (Str. 129). I on uznaje pracę, ale tylko za jeden ze środków, prowadzących do celu, bynajmniej nie jedyny, ani nawet najlepszy do wzbogacenia się — o wiele lepszym środkiem od pracy jest tu lichwa, spekulacja, trust, kartel i monopol."

„W tej silnej, nie tamowanej względami etycznemi żądzy zysku, — mówi Sombart — „wyrastają same przez się niektóre zasady i praktyki handlowe, za które tak potępiano żydów. Właściwością żydów... jest nieprzyzwoite przekraczanie granic, zakreślonych przez prawo, albo obyczaj dla różnych zawodów i gałęzi przemysłu" (Str. 132.).

W tem tkwi źródło zwyrodnienia kapitalizmu i dzisiejszego kryzysu. To, co powinno być środkiem — pieniądz — uczyniono celem człowieka na ziemi; pomieszano to pojęcie szczęścia z bogactwem, a bogactwo jednostek z bogactwem całego narodu, dlatego doszliśmy do tego, że mamy dziś w Europie kilkaset miljardów i miljony bezrobotnych nędzarzy.

Za to wszystko odpowiedzialni są ci, którzy usunęli z gospodarki światowej etykę chrześcijańską i na jej miejsce wprowadzili światopogląd materjalistyczny. Uznanie bogactwa za główny cel życia rozbudza niepohamowaną gorączkę posiadania i oddaje człowieka w niewolę ciała.

W ustroju kapitalistycznym naczelną zasadą, a zarazem siłą motoryczną całej tej olbrzymiej maszyny gospodarczej jest **egoizm**, gdyż chodzi tu przedewszystkiem o zysk osobisty każdego.

Nieuniknionem następstwem tego jest **hedonizm**, hedonizm, nastawienie mas, które nie są już zdolne do czynów bezinteresownych i ofiarnych, do porywów idealnych i szlachetnych, do zaparcia się i poświęcenia dla bliźnich, bo żyją dla wygody i przyjemności. Stosunek do życia układa się wtedy na zasadzie kupieckiej kalkulacji, gdyż uwaga każdego skupiona jest przedewszystkiem na zysku, na to co można zarobić w danej sytuacji.

Człowiek o światopoglądzie kapitalistycznym wszelkie wartości ludzkie ocenia ze stanowiska korzyści materjalnej, to też i pracę ludzką szacuje jako towar, a w robotniku widzi zwierzę juczne albo maszynę. Na takiej właśnie podstawie wyrósł dzisiejszy materjalizm, a za nim przyszedł upadek sztuki i kultury współczesnej.

Wszystko się dziś sprzedaje i kupuje, nietylko praca i wolność, ale przekonania polityczne, talenta i uzdolnienia literackie. W okresie zwyrodniałego kapitalizmu pogoń za zyskiem jest zjawiskiem powszechnem i cechą charakterystyczną ludzi, którzy w tej brutalnej pogoni tracą nieraz godność człowieka.

KS. DR. JAN CIEMNIEWSKI.

Skarby Katedry wawelskiej

Stojąca u boku królewskiego zamku na wawelskiem wzgórzu, katedra, była pierwszą w kraju świątynią, którą za swój obowiązek uważał opiekować się i upiększać każdy niemal władca przedrozbiorowej Polski. Ale nie tylko królowie hojnie obdarzali katedrę. Wielką na jej rzecz była również ofiarność duchowieństwa i możnych panów. Nic więc dziwnego, że przez wieki nagromadzono w niej rzadko spotykaną ilość cennych okazów rzeźby, malarstwa, złotnictwa itd. Już po przekroczeniu progu świątyni rzucają się one zwiedzającemu niemal na każdym kroku w oczy. Znacznie jednak więcej cennych okazów kryje skarbiec Katedry wawelskiej.

Wchodzi się do niego przez kaplicę św. Małgorzaty, zwaną inaczej Nankierowska, która oddawna służy za zakrystję. Ciekawe, że w tej dzisiejszej zakrystji odbyła się swego czasu koronacja Władysława Łokietka. W niej również syn tego króla Kazimierz Wielki, brał ślub z Aldoną Gedyminówna. Do tej kaplicy o zakrystji, będącej najstarszą częścią gotyckiej Katedry, dobudował biskup Jan Rzeszowski, w wieku XV. wielką salę również gotycką, z przeznaczeniem na przechowywanie najcenniejszych ruchomości świątyni.

Wejście do skarbca zdobiły niegdyś pomniki jego założyciela biskupa Jana Rzeszowskiego i biskupa Tomasza Strzępińskiego, które niestety zniszczono w niegrzeszącym zbytnio pietyzmem dla pamiątek przeszłości, wieku XVIII. Sama sala skarbca zmieniła z biegiem lat swój charakter. Dwa

rzędy okien, jeden nad drugim zdają się wskazywać, że skarbiec podzielony był niegdyś na salę parterową i piętrową. Do czasów najazdu szwedzkiego przez całe wieki z roku na rok rosły jego skarby. Spisywane inwentarze wykazywały olbrzymie wprost cyfry ornatów, kielichów, monstrancyj, krzyżów, relikwiarzy itd. Były czasy w których skarbiec rozporządzał przeszło pięciu setkami kosztownych szat liturgicznych (ornaty, kapy, dalmatyki, infuły itd.), około 300 monstrancjami i kielichami, kilkudziesięciu cennemi relikwjami. Jego skrzynie i szafy kryły pozatem setki innych, złotych i srebrnych przedmiotów, drogiemi kamieniami zdobnych, z których ogromna większość przedstawiała pozatem wielką wartość artystyczną.

Pierwszą tragedją Katedry wawelskiej, jak zresztą i wielu innych, był najazd szwedzki i poprzedzające go wypadki. Nic dziwnego. Pierwsza część panowania Jana Kazimierza, która zakończyła się oderwaniem Ukrainy, przyniosła Polsce nietylko upokorzenie, ale i ruinę gospodarczą. A tu spadło nowe nieszczęście. Ambitny Karol Gustaw szwedzki wypowiedział wojnę. Na obronę kraju trzeba było pieniędzy. O podatkach i innych źródłach państwowego dochodu nie mogło być mowy, sięgnięto więc do skarbców kościelnych. Wśród mas srebra i złota, które z tych źródeł wpłynęły wówczas do mennicy państwowej, nie brakło zasobów skarbca katedry. Później, gdy przyszli Szwedzi, nie omieszkali skorzystać z okazji i zabrać resztki pozostałe w skarbcu. Było tego na szczęście niewiele, gdyż kapituła katedralna, obawiając się rabunku, wywiozła cenniejsze przedmioty poza miasto i dobrze je ukryła.



Widok na katedrę wawelską z bramy zamku królewskiego.

Konfiskaty i rabunki skarbów Katedry wawelskiej powtórzyły się jednak w diekach następnych. Toteż skarbiec zubożał z czasem, tak, że już nie tak wielką stosunkowo jak dawniej ofiarą wspomóc mógł kościuszkowską insurekcję. Dzisiaj przechowuje się w nim pieczołowicie resztki przez wieki zebranych bogactw, które choć w przybliżeniu dają wyobrażenie o tem czem przed laty kilkuset był skarbiec Katedry wawelskiej. Obrazują one wszystkie niemal style, za wyjątkiem najstarszego romańskiego.

Do najstarszych zabytków skarbca należy kryształowy kielich św. Jadwigi śląskiej. Składa się on z dwóch części właściwego kielicha kryształowego, wykonanego w Egipcie, w wieku X i z metalowej gotyckiej podstawy. Kielich zdobi rzeźba wyobrażająca smoka i orła, godła egipskich sułtanów Fatymidów. Wśród postaci, wyrzeźbionych na podstawie widzimy św. Jadwigę.

Z cennych relikwij, które kryje skarbiec, wymienić należy przedewszystkiem głowę patrona Krakowa św. Stanisława Szczepanowskiego, biskupa, zamkniętą we wspaniałej, szczerozłotej puszce, misternem dziele późno - gotyckiem mistrza krakowskiego Marcinka. Złoto na tę puszkę ofiarowała żona Kazimierza Jagiellończyka Elżbieta i syn jej Jan Olbracht, perły drugi syn kardynał Fryderyk. Pozatem królowa Elżbieta ofiarowała wspaniały szafir, piękny czarny brylant i wiele drogich kamieni, zdobiących dzisiaj relikwjarz. Na ścianach tego wspaniałego relikwjarza widzimy 8 scen z życia św. biskupa.

Drugą cenną relikwią katedralnego skarbca jest ręka św. Stanisława, zamknięta w odpowiedniej puszce, podobnie jak znajdująca się obok ręka św. Florjana. Tutaj przechowuje się również jeden z Gwoździ Chrystusowych, w relikwjarzu kształtu monstrancji, darze arcybiskupa lwowskiego Stanisława Grochowskiego. Miał tę relikwię ofiarować Władysławowi Jagielle według jednych biskup Ostji kardynał Latinus de Ursini, według innych papież Marcin V.

Pozatem w skarbcu Katedry wawelskiej znajduje się włócznia św. Maurycego, dar cesarza Ottona III. dla Bolesława Chrobrego, srebrna skrzyneczka z arabskiemi napisami, zawierająca ziemię ze Skałki, zbroczoną krwią św. Stanisława wiele innych cennych relikwij.

Z szeregu monstrancyj i kielichów wymienić należy szczerozłotą lekką, barokową monstrancję biskupa Gembickiego, dzieło jednego z mistrzów bolońskich, oraz monstrancje po biskupie Oborskim i Dąbskim. Ta ostatnia ozdobiona jest wielką ilością szlachetnych kamieni. Gotycki kielich biskupa Padniewskiego z roku 1572, należy do najstarszych w skarbcu. W roku 1619 ofiarował Katedrze kielich, własnoręcznie wykonany Zygmunt III. Pięknym zabytkiem złotnictwa XVIII stulecia jest kielich biskupa Sołtyka.

Bogato uposażona była niegdyś Katedra wawelska w szaty liturgiczne. Z setek kapiących złotem, srebrem i drogiemi kamieniami ornatów, dalmatyk, kap itd. dochował się ornat Piotra Kmity z Wiśnicza, wojewody krakowskiego, pochodzący z przełomu XV na XVI wiek. Gotycki ten ornat, z czerwonego aksamitu, ozdobiony jest krzyżem, który tworzy 8 scen z życia św. Stanisława. Sceny te wyhaftowane zostały wypukło nićmi złotemi, jedwabnemi i perłami, ręką wielkiego artysty, może według wskazówek samego Wita Stwosza. Niewiadomo by którykolwiek z kościołów na całym globie mógł poszczycić się ornatem o tak wielkiej wartości artystycznej. Toteż zagraniczni uczeni i znawcy sztuki, przybywający do Polski, nie omijają okazji podziwiania tego unikatu, podobnie jak i wspaniałego relikwjarza z głową św. Stanisława. Piękna jest kapa, w której biskup Trzebicki koronował żonę Michała Korybuta Wiśniowieckiego, Eleonorę Austrjacką. Wykonana ze srebrzystej materji, ozdobiona jest orłem polskim, który dźwiga jabłko królewskie na piersiach, berło zaś i miecz trzyma w szponach. Jest ona dziełem krakowskiego krawca Sebastjana Brożka. Piękny dar ofiarowała Katedrze królowa Jadwiga. Jest to tak zwany racjonał, szata liturgiczna przypominająca paljusz arcybiskupi. Racjonał królowej Jadwigi wyszyty jest w całości perełkami. Wkładają go biskupi krakowscy na ornat w czasie uroczystych Mszy św.



Racjonał, dar królowej Jadwigi cały wyszywany perełkami. Nawdziewają go biskupi na ornat w czasie uroczystej Mszy św.

Możnaby wymienić wiele jeszcze okazów z działu szat liturgicznych, choćby wspaniałe infuły z XIII i późniejszych stuleci, jeden z zachowanych pastorałów itd.

Niebrak w skarbcu pamiątek narodowych. Najważniejsze z nich to chyba insygnja królewskie, ale niestety nie te których używano do koronacji. Są to korona i jabłko używane przez panujących w czasie nabożeństw. W skarbcu Katedry złożono również tajemniczą koronę, znalezioną w ziemi w okolicach Sandomierza w r. 1912, oraz podobizny insygnjów Kazimierza Wielkiego, wykonanych po otwarciu grobu tego króla. Obok nich znalazł się buńczuk turecki z pod Wiednia, płaszcz koronacyjny Stanisława Augusta, płaszcz ofiarowany przez wojsko polskie Ks. Józefowi Poniatowskiemu i szable tego bohatera.

Wymienione pokrótce skarby Katedry wawelskiej uzupełniają cenne obrazy, oraz cały szereg różnych przedmiotów, o wysokiej nieraz wartości artystycznej, które choć w drobnej części dają wyobrażenie o tem, czem przed wiekami był skarbiec tej katedry. Niestety, jak wspomniano, skarbiec ciężkie przechodził chwile. Były momenty, w których poświęcano zasoby jego na potrzeby narodowe. Były jednak i inne smutniejsze, o których przed kilkudziesięciu laty tak pisano: „Z żalem też nam dziś gonić za pomarnowanemi... darami pobożnych królów naszych, zwożonemi z zagranicy, lub żłobionemi i malowanemi w kraju... Niszczono je bez miłosierdzia i uwagi na święte przedmioty co przedstawiały, ani na pamięć droga, iż korzyli się przed nimi ojcowie nasi". Ten sam autor pociesza się jednak: „Lecz nie u nas tylko targniono się na zabytki starej sztuki, bo i po innych krajach, a w Niemczech i Francji to samo było".

ak.

Indjanin i bobry

Gdzie te czasy, kiedy czerwonoskóry wojownik tępił zwierzęta dziewiczych lasów i polował na skalpy nienawistnych bladych twarzy? Pomnikiem ich pozostają jedynie tysiączne książki dla młodzieży. Rasa dawnych władców Ameryki wygasa, zarzuciwszy dawne barbarzyńskie obyczaje i poddawszy się władzy białych...

Oto mam przed sobą książkę takiego Indjanina, co zawarł pokój wieczysty ze zwierzyną, a od bladych twarzy przyjął funkcję jej opiekuna. Autor „Pielgrzymów puszczy". Ua-sza-kuon-asin długo był trapperem czyli myśliwcem, ale pokochał zwierzęta, szczególnie bobry, po barbarzyńsku tępione przez ludność Kanady, łakomą na ich futerka. Uczucie to dzieliła z nim żona Anahareo, Indjanka czystej krwi i córka wodza, która popełniła mezaljans, wychodząc za Ua-sza-kuon-asina, bo ten ma przymieszkę krwi europejskiej. Imię jego oznacza „szarą sowę", imię żony kucyka.

Małżeństwo to przypadkowo znalazło parę osieroconych małych bobrów i chowało je, jakby własne dzieci. Pewnego razu zwierzątka gdzieś znikły i wszelkie poszukiwania były daremne. Wówczas Ua-sza-kuon-asin i Anahareo poprzysięgli sobie, że poświęcą się ochronie bobrów. Zadanie było ciężkie. Zdarzyło się, że mieli w domu troje zwierząt. Przybył w odwiedziny dawny znajomy i pozabijał wszystkie. Gdy biedni gospodarstwo wrócili, nie powiedzieli ani słowa. Byłoby to pogwałceniem starych praw indjańskiej gościnności. Ukrywając swą zgryzotę, pomagali gościowi ściągać skórki z bobrów — a serce im się krajało....

Stosunek między człowiekiem a bobrem, jak pisze Ua-sza-kuon-asin, w niczem nie przypomina stosunku między człowiekiem a koniem, psem czy kotem. Bóbr nie nauczy się nigdy posłuszeństwa, nie będzie naśladował ludzkich zwyczajów, nie odstąpi od swego trybu życia. Nie będzie też nigdy szanował różnych ludzkich wymysłów. Zostawiony sam w domu, zje nogi od stołu i zakąsi miotłą. I niema go co karać, to nic nie pomoże. Pojęcia o tem, na co jest drzewo i gałązki, kształtowały się u tysięcy i tysięcy pokoleń bobrów, nikt ich nie wykorzeni. Bóbr chętnie zostanie przyjacielem człowieka, będzie mu towarzyszył, a że dużo sypia, najchętniej zasypiał w jego objęciach. Ale wtedy przyzwyczai się do łóżka i z pewnością położy się na niem, gdy ociekając wodą, wróci z wycieczki do stawu. A jeżeli go chcesz bić, to kąsa. Nie uzna nigdy nierówności między sobą a człowiekiem, za przykrość płaci przykrością.

Ua-sza-kuon-asin jest człowiekiem nie bez wykształcenia. Na wstępie swej książki umieszcza motto z Walta Whitmana i pisze wcale dobrą angielszczyzną. Wspomina zresztą, że uczył się jej powoli i w pocie czoła. Doszedł jednak do tego, że wygłaszał publiczne odczyty o życiu ukochanych zwierząt. Gdy próbował tego po raz pierwszy, czuł jakieś wewnętrzne zimno, „jakby wąż, który połknął sopel lodu".

Obecnie jest Ua-sza-kuon-asin rodzajem urzędnika. Rząd kanadyjski zrobił go strażnikiem jednego z tamtejszych parków narodowych, a oboje z żoną zajmują się przedewszystkiem bobrami, których liczba również wzrasta.

A. E.

Dżdżysta ziemia

Ktokolwiek jedzie w stronę Wilna i z okien wagonu śledzi przesuwające się krajobrazy, mimowoli zadaje sobie pytanie, skąd pochodzi i co oznacza nazwa krainy tak smutnej, a tak miłej zarazem, do której lgnie chętnie i serce i dusza. I niekażdy mieszkaniec tej krainy lasów i wód wyjaśni nam tę zagadkę, mimo tego, że wystarczy zajrzeć do słownika litewskiego, by znaleźć rozwiązanie.

W mowie litewskiej słowo „litos" oznacza deszcz. Ziemie zaś, leżące nad Niemnem i Wilją obfitują w wody, w liczne rzeki, jeziora i bagna, które sprawiają, że te północne kresy Polski są mokre i mgliste, z powodu czego lud z dawien dawna nazwał je ziemią dżdżystą, po litewsku „letuwa żeme".

Dziwnie przemawia do duszy ta kraina smętna, ale przepiękna, jej puszcze, jeziora i łąki, jej bagna i moczary i jej lud, tak ściśle związany z przyrodą i z tradycją staropolską. Kraj ten bowiem od wieków zaludniły liczne rzesze szlachty i włościan, pochodzące z każdego zakątka Polski i zagospodarowały go, nie zmieniając jego szaty i nie burząc starożytnego jego piękna.

Na Litwie spotkać się jeszcze można z myśliwym, bartnikiem, rybakiem i pasterzem, z tem wszystkiem, co nam tak pięknie opisuje w swych powieściach Weissenhof i Rodziewiczówna. Ziemia bowiem nadniemeńska ułatwia jeszcze dzisiaj pracę w pierwotnych zawodach. Rolnik litewski walczyć musi na każdym kroku z wodą i zimnem, z borem, z chwastami i jałowym piaskiem, a przedewszystkiem z nieustępliwemi wrzozowiskami, które trudniej tępić, jak starodrzewia czarnych lasów, jak gęste podszycia puszcz a ta plaga rolnika raduje jedynie leśne pszczoły, karmiące się słodyczą niepozornego wrzosu.

Natomiast w kraju tym, na oko tak poważnym, podobnym do zachmurzonego nieba, pokrytym często mgłą, a jednak niebywale miłym, wdzięcznym i kochanym, rodziły się zawsze i utrzymywały do dnia dzisiejszego inne zawody, bliskie przyrodzie i jak ona proste, patrjarchalne i bogate i różnobarwne.

Ziemia nad Niemnem i Wilją jest bowiem związkiem mrówki i pszczoły, głuszcza, jelenia, dzika i bobra, sosny; grabu i dębu z człowiekiem, i to związek serdeczny i szczery, który nie ma wzajemnych tajemnic, radzi sobie wzajemnie w biedzie, nasyci, napoi i okryje, tak; że wszystko żyje tam ubogo, ale swobodnie i niezwykle bujnie, jak nigdzie na świecie.

A całemu temu życiu towarzyszy stale zapach żywicy z domieszką odoru palącej się smółki i to w różnych odcieniach zależnie, czy wydają ją jałowce, czy zioło cenne, mrowisko lub palące się łuczywo. I w takiej to atmosferze pracuje dzisiaj jeszcze na tej ziemi myśliwy i pasiecznik, rybak i pasterz z tą różnicą, że o ile dawniej brał mało ziemi pod uprawę, to dzisiaj rozszerzył znacznie swe gospodarstwo, wpisał się na stałe w poczet rolników i jak może walczy z jałową glebą, użyźnia piaski, osusza bagna, karczuje lasy, nie zapominając o tem, że tak jak jego dziadowie musi również poznać rybołóstwo i myśliwstwo hodować bydło i śledzić pszczoły w lesie.

Tam też, gdzie zachowały się jeszcze stare lasy i wody, gdzie żyje jeszcze tradycja i stary obyczaj, nauczyć się można jeszcze odróżniać sośninę od choiny, lasy sosnowe od puszcz i borów, które rodzą się na borowinie, na łanach borówek. Taki bór jest głuchy, gdy u spodu jest gęsty i mocno podszyty, ale z czasem staje się rozmowny, gdy się u spodu oczyści, drzewo odsadzi się od ziemi i spojrzy ku górze. Po takim lesie, gdy się go wyrąbie, pozostaje ziemia czerwonawa, urodzajna, dobra pod zboża i ogrodowiznę, pociecha dla rolnika. Natomiast po sośninie pozostaje żywy piasek, jałowy, rzucający się w oczy, gdy go wiatr rozgania. Ale taki las sosnowy jest towarny, bo daje drzewo, z którego sporządzić można stół i skrzypce, krokwie i belki, a gdy pień jest prosty, toczony a daleko na wierzchu uwieńczony gałęziami, to zbudujesz z niego kościół i dwór, maszty dla okrętów i wszystko, cokolwiek człowiek zapragnie.

Lud tamtejszy umie rozróżnić i określić różne typy drzew szpilkowych i liściastych i tak dla sosen, jak dla dębów posiada różne nazwy stosownie do wartości i właściwości drzewa. Język też tego ludu jest wielce bogaty i nawet wiedza przyrodnicza mogłaby wiele korzystać, poznając tajemnice tego ludu i jego określenia.

Do dżdżystej krainy litewskiej podobną jest Białowieża, biały las, który w ten sposób nazwali nasi ojcowie, gdyż dla nich słowo „biały" oznaczało najwyższą cnotę człowieka, a mianowicie czystą, dobrą i uczciwą duszę ludzką. Białowieża, bogata jeszcze w bory, puszcze i lasy, w moczary i bagna, zachowała również wiele zwyczajów i zawodów starodanych mimo tego, że w czasie wielkiej wojny tak na Litwie, jak w Białowieży niszczono celowo i rabunkowo tamtejsze drzewostany i zwierzostany, pozostawiając jałowe piaski, kłopot dla rolnika.

A jednak krainy te są piękne i jeszcze przemawiają do duszy polskiej. Niestety Polacy znają lepiej (z powieści) prerje amerykańskie, gaje na Rewjerze, wiedeński prater lub paryskie parki, piaski egipskie albo brzegi Madery, aniżeli własne, przepiękne krainy, tak wonie jące i tak zdrowe dla duszy i ciała, które kocha tylko polski rolnik, mieszkaniec starego, pochylonego dworku lub chaty drewnianej, zbudowanej na skraju, lub w głębi puszczy i on tylko okazuje się prawdziwie wiernym dzieckiem najpiękniejszego zakątka ziemi w Europie.

I dziwić się wielce należy, że tak w zimie, jak w lecie wszystkie drogi polskie na południe i zachód pełne są młodzieży i starszych, urządzających wycieczki, tylko drogi prowadzące na wschód do Białowieży i na Litwę są zwykle ciche i bezludne i nie ożywia ich gwar kształcących się serc polskich. A przecież każdy Polak przepracowany i przewrażliwiony mógłby znaleźć tam wśród polskich sosen i dębów prawdziwy spoczynek i ukojenie, a może ta polska ziemia, bór i jezioro, poważny szum puszczy i tajemna mowa przyrody przemówiłaby również do sumienia dzisiejszych Polaków i zrozumieliby zdradzieckie szmery innego lasu, pełnego niebezpieczeństw i groźby.

D. J. S.

Jeszcze o literaturze łowieckiej

Mój artykuł p. t. „Oszczepem, strzelbą i piórem" wywołał żywy oddźwięk wśród braci myśliwych, uprawiających z równem zamiłowaniem sport łowiecki, jak i... pisarski. Dostałem kilka listów i kilkanaście telefonów z reklamacjami, żem w spisie „piszących myśliwych" kogoś tam nie wymienił.

Ponieważ jednocześnie i sam zauważyłem pewne braki i niedokładności w mym artykule, więc spieszę je uzupełnić. Z dawniejszych tedy pisarzy łowieckich wymienić jeszcze należy Cygańskiego, autora „Myślistwa ptasiego" (Wiek 17-ty). Piękne opisy łowieckie dają nam poeci Syrokomla, Wincenty Pol (Hetmańskie Pacholę) i Lenartowicz. Ten ostatni pisze o Kurpiach słynnych strzelcach:

„Szumi bór, szumi gaj
Szumi gałązeczka
Wolny kraj, leśny kraj,
Środkiem płynie rzeczka.
Kurpik w nim, poza pniem
Ze strzelbą się sadzi,
Kulką w lot nocą, dniem,
Dzikie bestje gładzi.

W drugiej połowie ub. stulecia zasłynął przedewszystkiem Kazimierz Wodzicki, słynny przyrodnik, znakomity myśliwy i utalentowany a bardzo płodny pisarz. W literaturze myśliwskiej i naukowej zajmuje on pierwszorzędne miejsce. Ogólnie znane i dziś jeszcze czytywane są jego „Zapiski ornitologiczne". Jest również autorem „Wspomnień z życia łowieckiego", w których tak charakteryzuje dobrego myśliwego:

„Myśliwy w łowach nie zadowala się zwykłym mordem wystarczającym dla kłusownika. Tylko trudny strzał jest pięknym strzałem, tylko karkołomna pogoń warta trudu. Dla myśliwego knieja, step lub moczary — są światem całym, nie dlatego bynajmniej, żeby pragnął łupów i oczekiwał chwili, w której na widok ujrzy nie tylko zabitego, ale i upieczonego zwierza, lecz dlatego, że ocenia wybornie czary dzikiej natury i że napawa się pięknem, jakie umie dojrzeć na każdym kroku i w każdej porze dnia albo lata".

Pamiętać też trzeba, że jedno z najwspanialszych arcydzieł literatury polskiej, powieść Żeromskiego „Popioły", zaczyna się od słów: „Ogary poszły w las". Poczem następuje prześliczny opis kniei i polowania.

Wreszcie pośród współczesnych nemrodów - literatów wymienić jeszcze poprzednio zapomniałem Krzywoszewskiego (zawodowego i znanego literata, który również po mistrzowsku włada strzelbą; opisując następnie swe przeżycia łowieckie), Zaborowskiego (autora przemiłego „Serca kniei"), Józefa Potockiego i Jerzego Wodzickiego (obu autorów wspomnień z polowań egzotycznych), Ziembickiego, Mniszka, Wł. Garapicha (seniora) i wielu jeszcze innych, których wymienić nie mogę dla braku miejsca.

Niech mi zechcą to łaskawie wybaczyć.

H. Ł.

Z życia kulturalnego Węgier

Reformy ustawowe. — Precz z gorszącą sensacją! — Ograniczenie prawa tłumaczeń. — Rozkwit dziennikarstwa. Antologja poezji chłopskiej. — Chłopscy artyści plastycy.

Cężkiem położeniem literatów węgierskich zajęła się Komisja Kulturalna miasta Budapesztu i opracowała obszerny projekt reform, które mają ulżyć biedującemu dziś pokoleniu Apollina. Nosi on piętno tak powszechnej dziś, a tak niesympatycznej etatyzacji wszystkiego, z drugiej strony jednak zawiera szereg trafnych pomysłów.

A więc stworzony będzie rodzaj Izby literackiej o dość obszernych uprawnieniach oraz fundusz zapomogowy. Nastąpi reforma ustawy o prawach autorskich, między innemi spodziewa się Komisja zapobiec wyzyskowi przez oznaczenie minimalnej wysokości honorarjum za wiersz i za arkusz.

W szczególną opiekę chcą Węgrzy wziąć twórczość rodzimą. Każdy wydawca, drukujący książki w obcych językach, czy tłumaczone będzie miał obowiązek dodać do nich corocznie pewną procentowo oznaczoną ilość utworów oryginalnych. Gorąco przyklasnąć można ograniczeniom i trudnościom, jakie postanowiono umyślnie stworzyć groszowym wydawnictwom sensacyjnym.

Zajęto się i przekładami, rezerwując je dla literatów zawodowych, należących do pewnych zrzeszeń. Zdaje się jednak, że w tym wypadku dokładny egzamin z języka ojczystego i dotyczącego języka obcego byłby bardziej pożądany.

W roku zeszłym cyfra książek, wydanych na Węgrzech, wynosiła 2563 i była nieco mniejsza niż w latach poprzednich. Na literaturę piękną przypadało z niej niecałe 700 pozycyj. Węgry utrzymały swoje czternaste miejsce co do liczebności wychodzących książek.

Bardzo ciekawie przedstawia się statystyka tłumaczeń. Na pierwszem miejscu stoi tu Edgar Wallace, ale po nim idą... Goethe, Wergili, Biblja i Homer.

Gdy liczba kiążek maleje, liczba gazet stale wzrasta. Noworocznik prasowy podaje ich na 1500 dzienników, tygodników i innych wydawnictw perjodycznych. Wedle gustu ludności z r. 1930 ma w samym Budapeszcie mieszkać 1141 dziennikarzy. Ponieważ jednak do Związku pensyjnego należy ich tylko ok. 500, można przypuszczać, że różni ludzie, uprawiający inne zajęcia (także nieokreślone) podszywają się chętnie pod nazwę dziennikarza.

Znany poeta chłopski Jànos Balluf planuje wydanie antologji poezji „wieśniaków, robotników rolnych, leśniczych i leśnych oraz rybaków". Określenie jest wzięte z cyrkularza, jaki rozesłał. Przedsięwzięcie budzi zainteresowanie w kołach literackich.

Wógóle zwrócono w ostatnich czasach uwagę na twórczość artystyczną wsi, węgierskiej. Na jesiennej wystawie w Salonie sztuki budapeszteńskim roku zeszłego cieszyły się dużem powodzeniem obrazy Piotra Benedeka, gospodarza wiejskiego, Józefa Aldoza, szewca, i Janosza Negyeremy'ego, pasterza z zawodu, a rzeźby i w drzewie i biusty, wykonane przez Antala Markowicsa, wieśniaka, który liczy dziś 62 lat życia, zyskały bardzo pochlebną opinję krytyków.

J. S.

Książe poetów we fioletach

(w 200-rocznicę urodzin Ign. Krasickiego)

W ziemi sanockiej, w rodowym majątku hr. Krasickich, Dubiecku, urodził się przyszły biskup warmiński. Z domu, w którym przechowywano troskliwie tradycje świetnej przeszłości, wyniósł na drogę życia zdrowie fizyczne i moralne, dzięki światłemu kierownictwu matki, pani kasztelanowej, o której — po jej śmierci — ze wzruszającą prostotą pisał bratu, że „bardziej się podobno do niej, niż za nią modlić należy".

Zgodnie z wolą rodziny został księdzem. Dzięki możnym i wpływowym protektorom, zdobywa szybko godności duchowne.

Już jako kanonik wyjeżdża w r. 1758 do Rzymu dla uzupełnienia studjów. Trzyletni pobyt w Wiecznem Mieście przyczynił się też znacznie zarówno do pogłębienia jego wiedzy, jak i do wyrobienia w młodym kanoniku owej ogłady towarzyskiej i szlacheckiej wytworności, któremi czarował wszystkich, od „króla Stasia" począwszy.

Jemu też zawdzięcza Krasicki w dużej mierze dalszą swą, świetną karjerę. W roku 1765 zostaje mianowany prezydentem Trybunału małopolskiego w Lublinie i we Lwowie. Już w następnym roku zostaje księciem biskupem warmińskim i senatorem Rzplitej. Z tą chwilą stanął Krasicki w rzędzie pierwszych dostojników w Polsce.

Stanisław August zawiódł się jednak trochę na swym protektorze: Krasicki, wbrew oczekiwaniom króla, nie stanął na czele stronnictwa królewskiego, nie chciał mieszać się do życia publicznego. Wolał pozostać na uboczu, w roli widza, obserwatora, a poniekąd i mentora.

Przyszedł I rozbiór Polski. Warmja przeszła do Prus, a Krasicki został poddanym Fryderyka II. Przenosi się do swej rezydencji w Heilsbergu, z nowym swym władcą utrzymuje stosunki dość nawet zażyłe. Nie raziło to zbytnio w tych czasach, gdy niemal przykazaniem „mody" były zażyłe stosunki głów ukoronowanych z uczonymi, filozofami i artystami. Nie można też robić poważniejszego zarzutu Krasickiemu za jego wizyty u koronowanego wolterjanina w Sanssouci.

* * *

Bo równocześnie książę biskup, który dotychczas uważał literaturę raczej za rozrywkę i zabawkę, zaczyna poważną pracę, ożywioną duchem gorącego umiłowania Ojczyzny.

Pierwszą niejako oficjalną legitymacją na tem polu jest słynny wiersz: „Święta miłości kochanej Ojczyzny", drukowany po raz pierwszy w „Zabawach przyjemnych i pożytecznych" w roku 1774, a zaopatrzony podpisem X. B. W.

Wiersz, niesłychanie popularny w całym kraju, recytowany codnia w Korpusie Kadetów, stał się niemal rodzajem hymnu narodowego.

Nie był to jednak pierwszy występ literacki księcia biskupa.

Już od roku 1765 zamieszcza Krasicki bezimiennie (jak zresztą i wszyscy inni współpracownicy) artykuły swoje w „Monitorze", czasopiśmie, omawiającem — wedle ustalonego programu — zagadnienia z dziedziny „nauki, obyczajności i moralności". Porusza w artykułach swych najrozmaitsze tematy: stosunek człowieka do Boga, zalety wierności, wstrzemięźliwości, — wytyka wady i śmiesznostki ludzkie. W tem ostatniem wyczuwa się już lwi pazur przyszłego autora Satyr i Bajek.

Zasila też swemi utworami drugie czasopismo „Zabawy Przyjemne i Pożyteczne", wychodzące od r. 1770 do 1777, wzorowane po części na angielskich „czasopismach moralnych".

* * *

W międzyczasie urządza sobie książę biskup wesołe figle z literaturą, by dać folgę swym upodobaniom: podchwytywania śmiesznostek i błędów ludzkich, parodjowania napuszystego stylu czasów saskich, rozśmieszania czytelnika.

Z tego okresu czasu datują się wydane w r. 1775 „Myszeidos pieśni dziesięć", późniejsza o trzy lata „Monachomachja", oraz „Antymonachomachja".

Prawdziwym mistrzem jednak okazał się Krasicki dopiero w „Satyrach" oraz w „Bajkach i przypowieściach", opublikowanych w r. 1779.

„Satyry" znakomite w konstrukcji, pisane jasnym, jędrnym językiem, należą do arcydzieł literatury polskiej w tej dziedzinie. Jakaż w nich rozmaitość typów! Jak świetny chwyt pisarski, dla skreślenia w paru wierszach sytuacji, jaka pyszna pointa, ile w nich zdrowego humoru i wytwornej ironji!

Chłosta w nich Krasicki wszystkie przywary ówczesnego społeczeństwa: pijaństwo, marnotrawstwo, chciwość, pochlebstwo... Wady to ogólno-ludzkie, tem większa zatem i trwalsza jest wartość tych utworów. Ale większość typów ma cechy wyraźnie narodowe, podobnie jak polskiem jest i tło, na którem one występują.

Satyry Krasickiego, to potężny głos ostrzegawczy, nawołujący do poprawy całego narodu głos płynący z serca, przepojonego miłością Ojczyzny i etyką chrześcijańską.

* * *

Nie ustępują Satyrom i „Bajki". Historycy literatury zarzucają, że w utworach tych wzorował się Krasicki na bajkach całego szeregu obcych pisarzy, od Ezopa począwszy, aż do Lafontaine'a. To prawda: tematy powtarzają się niejednokrotnie, nawet dość często, co zresztą obserwować można u innych także bajkopisarzy.

Ale Krasicki umiał sam zasadniczy temat przerobić zawsze tak artystycznie, iż powstawała rzecz naprawdę zupełnie oryginalna.

Przedewszystkiem pod względem formy i konstrukcji. Najlepsze jego bajki liczą zaledwie cztery lub ośm wierszy. Dzięki temu nabierają one niesłychanej zwięzłości. Styl staje się jasny prosty, — niema tam ani jednego słówka za wiele. Króciutka ekspozycja z zaznaczeniem głównych figur, akcja żywa, wiedzie do rozwiązania, które często ma charakter dramatyczny.

Słusznie też nazwano bajki Krasickiego minjaturowemi dramatami lub komedjami.

Oczywiście każda bajka ma swój morał, wypływający naturalnie, ze samej treści. Jak to trafnie określa prof. K. Wojciechowski, „nauki płynące z tych bajek dałyby się ułożyć w katechizm życiowy. A ktoby chciał żyć wedle tego katechizmu, nie zostałby ani świętym, ani sławnym, ale byłby człowiekiem uczciwym, wolnym od śmieszności..., pamiętałby, że wokół niego pełno lisów i wilków".

Bajki Krasickiego wzbogaciły znakomicie skarbiec naszej literatury i do dziś dnia nie straciły nic ani ze swej piękności, ani z wartości dydaktycznej, ani z aktualności.

* * *

W innych utworach poetyckich Krasicki ani w przybliżeniu nie osiągnął podobnego sukcesu. Ani w „Listach", ani w „Wojnie chocimskiej", będącej nieudałą próbą stworzenia bohaterskiej epopei.

Bo jest on par excellence mistrzem minjatury, na większe, poważniejsze kompozycje brak mu tchu, brak szerszego spojrzenia i daru koncentracji.

Natomiast jest niezrównanym jako wykwintny humorysta. Z łagodnym, ironicznym uśmiechem obserwuje ułomności ludzkie. Rejestruje je bez zgryźliwości, nie siląc się nigdy na styl wyszukany. A pozostaje zawsze estetą, który całą swą wiedzę i talent oddał w służbę narodu, wierny wypowiedzianemu przez siebie hasłu:

„Padnie słaby i lęże, wzmoże się wspaniały".

(kr.)

Z „Myśli różnych" Ign. Krasickiego

Kiedy Stanisława Leszczyńskiego powtórnie królem obrać miano, a prymas Potocki pożytki przyjaźni francuskiej dla narodu obszernie wywodził, rzekł Humiecki, wojewoda podolski: „Zróbmy most ponad Niemce, a dobrze nam będzie z Francuzami".

*

Niemasz nic nudniejszego na świecie nad niezłe wiersze

*

Ból im bardziej zasłużony, tem srożej dotyka.

*

Salomon powiadał: trzy rzeczy są mi ciężkie do zrozumienia, a czwartej wcale pojąć nie mogę, — ale też za jego czasów nie było licencjatów filozofji, bakałarzów św. teologji i doktorów obojga prawa.

*

Przyjść do powątpiewania o nieśmiertelności jest największą dolegliwością, w którą człowiek wpaść może. W jednym tylko razie myśl taka może być ulgą, iż od przyszłego nieszczęścia ocala, ale mieć to za ulgę już jest nieszczęściem.

O. Górkowe historje i brewerje

o Skrzetuskim, bohaterze zbaraskim

Nieposkromiony w swych zapędach „odbronzowiacza" dr. O. Górka w głośnej swej broszurze „Ogniem i mieczem a rzeczywistość historyczna" zajmuje się obszerniej również i postacią Skrzetuskiego, tego rycerza bez skazy, który całe swe życie poświęcił ofiarnej służbie dla Ojczyzny.

Podaje o nim wręcz rewelacyjne informacje, streszczające się w tem, że Skrzetuski „nietylko nie był Polakiem, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa wogóle nie mógł nawet być Polakiem".

A czemże był, wedle zdania dr. Górki, opartego rzekomo na „materjałach i danych historycznych"? Oto — Rusinem, schizmatykiem, towarzyszem chorągwi kozackiej u Firleja"...

Dziś, — po paru miesiącach polemiki i dyskusji, jaka rozwinęła się na tle tej broszury, świat naukowy ma już wyrobione zdanie i sąd o „rewelacjach" dr. Górki.

Tem niemniej dobrze się stało, że i w kwestji pochodzenia, narodowości i wyznania bohatera zbaraskiego zabrał głos zasłużony badacz i doskonały znawca tej epoki, dr. Zygmunt Lasocki, dając w wydanej świeżo broszurce¹) ciętą a należytą odprawę niefortunnemu odbronzowiaczowi.

* * *

Jedynem źródłem, na podstawie którego dr. Górka robi Skrzetuskiego Rusinem i schizmatykiem, jest relacja nuncjusza de Torres z daty 14 sierpnia 1694. Relacja ta, oparta na podstawie udzielonych nuncjuszowi informacyj (niewiadomo, od kogo pochodzących) mówi o przybyciu do obozu królewskiego p. Skrzetunowskiego, Rusina, schizmatyka, który zapomocą „przemyślanego manewru" zdołał wydostać się ze Zbaraża.

Źródło to dość wątpliwej wartości. Nuncjusz bowiem, jakkolwiek życzliwie dla Polaków usposobiony, niezbyt trafnie orjentował się w stosunkach polskich, czego dowodem liczne pomyłki i nawet „przeróbki" w jego raportach. Można przyjąć, że informator jego, pisząc o Skrzetuskim, podał, iż należał on do chorągwi kozackiej, a nuncjusz drogą dedukcji doszedł do wniosku, iż był on Kozakiem, a więc eo ipso Rusinem i schizmatykiem.

Przypuszczenie tem bardziej prawdopodobne, ile że i sam i dr. Górka w wywodach swych poszedł tą samą drogą — z gruntu błędnego — rozumowania.

Tu znów oparł się na liście Samuela Kuszewicza, sekretarza J. K. M., który mówi o niejakim Skrzetuskim, towarzyszu z pod chorągwi pana Odeszyńskiego. Gdy zaś w kilku pracach historycznych chorągiew ta wymieniana jest jako „kozacka", — stąd prosty wniosek, że i Skrzetuski musiał być Kozakiem.

Rozumowanie dość uproszczone, niegodne historyka, za jakiego dr. Górka pragnie uchodzić. Wystarczyło bowiem zajrzeć do prac historycznych Kukiela, Korzona, czy Gembarzewskiego, aby się dowiedzieć, że w wieku XVII polska chorągiew kozacka znaczyła toż samo co „chorągiew pancerna", — że w tym czasie Kozacy nie mieli wogóle „chorągwi" lecz pułki i sotnie.

Z powyższego widać, na jak kruchych podstawach oparte są „rewelacje" dr. Górki i jak krytycznie trzeba się do nich odnosić.

Przyjrzyjmy się teraz sylwetce Skrzetuskiego, skreślonej przez dra Lasockiego w jego broszurze, z oparciem o pewne i autentyczne źródła.

Oto już we wrześniu 1649, a więc nieledwie w parę tygodni po bohaterskiej wyprawie z oblężonego Zbaraża, pojawia się wierszowany opis oblężenia Zbaraża. Autorem jest Białobocki, sekretarz J. K. M.

Opisuje on przekradzenie się Skrzetuskiego wśród grożących mu niebezpieczeństw przez szeregi wrogów i przybycie do obozu królewskiego, gdzie

oddał pisanie Panu i powiedział
co tylko naszym potrzebnego wiedział.
Taką odwagą Szlachcica Polskiego

¹) Zygmunt Lasocki: Czy Skrzetuski był kozakiem? (Kraków 1935, nakładem autora.).

w pamiętną sławę Domu Skrzetuskiego Król Jego Mość był wielce ucieszony.

A więc — szlachcic polski, co zresztą potwierdzają zgodnie liczne inne relacje.

Nigdzie jednak nie podano imienia bohatera. Jedynie Rudawski w pracy swej pisze

„strenuus miles, Joannes Skrzetuski", co prawdopodobnie wprowadziło w błąd Sienkiewicza. Błąd to zresztą drobny, nie istotny.

Faktycznie bowiem nasz bohater miał na imię Mikołaj. Pochodził z Poznańskiego. Ojciec jego, Jan, był właścicielem majątku Rożnów (powiat poznański). Ojca stracił we wczesnej młodości, gdy zaś matka wyszła powtórnie zamąż, młody Mikołaj wędruje na wschód w poszukiwaniu chleba i przygód wojennych.

Miał tam zresztą i krewnych: Maciej Skrzetuski jest rotmistrzem piechoty J. K. M. na zamku w Kaniowie. Brat stryjeczny naszego bohatera, Jan, gospodaruje na swym folwarku w Dołobyczowie w pow. bełzkim.

Tam też prawdopodobnie Mikołaj przebywając w gościnie, zaciąga się do chorągwi pancernej czyli kozackiej rotmistrza Marka Gdeszyńskiego, słynnego zagończyka.

Dzieje się to w r. 1649. I od tego czasu nazwisko Skrzetuskiego spotyka się w aktach dość często. Więc najpierw przechodzi oblężenie Zbaraża, skąd przynosi królowi smutne wieści. Skolei obejmuje komendę nad Wołoszą, dzielnie się sprawując, jak o tem świadczy pismo z obozu królewskiego pod Sokalem z dn. 29 maja 1651.

Potem przez kilka lat cisza. Widocznie Skrzetuski odpoczywa lub leczy się z ran otrzymanych.

Ale już w r. 1660 spotykamy go jako porucznika w lekkiej, „tatarskiej" chorągwi Czarnkowskiego, która wróciła do kraju po zwycięskiej wyprawie do Danji. W tejże samej chorągwi bierze następnie udział w walkach przeciw Moskwie.

W roku 1671 wraca w swe rodzinne strony. Nie na długo. Załatwia tam rozmaite sprawy osobiste, obrachunki, wreszcie sporządza swój testament, poczem śpieszy znów na Podole, służąc Ojczyźnie w tych ciężkich chwilach swym mieczem i głową. Urządza podjazdy, przywozi języka J. M. Panu Hetmanowi Wielkiemu Koronnemu, z polecenia hetmana Sobieskiego jedzie z posłowaniem aż na Dzikie Pola. I wszędzie odnosi sukcesy ten żołnierz wierny i dzielny, co jak sam mówił, „poświęcił się sprawom wojskowym i jak się dotychczas starał zasłużyć dla Ojczyzny, tak i nadal jej wysługiwać się będzie".

Z początkiem roku 1673 Skrzetuski zajmuje się formowaniem chorągwi na wyprawę turecką. Tytułuje się rotmistrzem i obejmuje dowództwo nad chorągwią wielkopolską.

Ta to chorągiew brała udział w bitwie pod Chocimem 11 listopada 1673. Ale dowódca jej już wówczas prawdopodobnie nie żył. Egzekutor bowiem jego testamentu, Stanisław Skrzetuski, wnosi dnia 24 października 1673 jego rozporządzenie ostatniej woli do aktów grodu poznańskiego.

*

Testament ten, to jeszcze jeden, niezbity dowód, że wszelkie wywody i „rewelacje" dr. Górki o Rusinie-schyzmatyku nie wytrzymują ognia rzetelnej, rzeczowej krytyki.

Oto początek testamentu:

„Wybierając się w drogę obozową jako człek Rycerski, jeżeliby mi fata śmiertelności nazad się w te tu kraje powrócić niedopuściały, naprzód tym się przed wszystkim Niebem y ziemią protestuję, że w wierze Świętej Katolickiej Rzymskiej jedyny prawdziwey, w której jem się urodził, umrzeć chcę y pragnę".

Z sum pieniężnych, jakie miał Mikołaj Skrzetuski do żądania, znaczną część zapisał Karmelitom bosym w Poznaniu, u których pragnął być pochowanym.

Siostrze swej zatwierdził dawniejszą darowiznę swych działów w Rożnowie, zaś bratu stryjecznemu „strzelbę, srebro, szaty i rynsztunki".

*

Skrzetuski zmarł bezpotomnie. Nigdy bowiem nie stanął na ślubnym kobiercu, choć był moment, gdy serce — niemłodego już podówczas — wojaka zapłonęło gorącym afektem.

Było to z wiosną 1667 roku. Bawiąc w Bełskiem, w gościnie u swych krewnych, zakochał się w „ciepłej wdówce", Zofji z Brzezickic' Zawadzkiej. A widocznie niezbyt pewny wzajemności, poczyna sobie iście po żołniersku. Jedzie „w konkury" na czele 27 konnych i zbrojnych przyjaciół i sług. Obsadza wszystkie wyjścia ze dworu, rozbraja i wiąże służbę. A kiedy jego wybranka próbowała ucieczki, towarzysze Skrzetuskiego łapią ją i przyłożywszy jej lufy pistoletów do głowy starali się nakłonić do złożenia przyrzeczenia małżeńskiego.

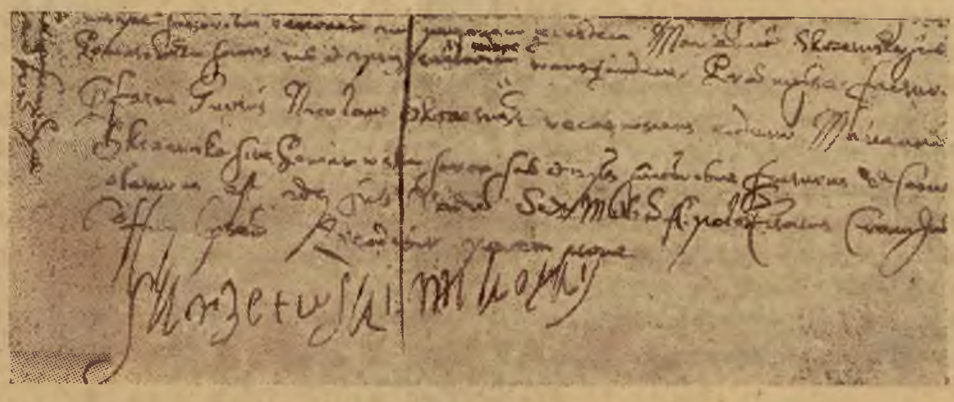
Nie obeszło się przy tem bez razów: jak wykazało późniejsze visum repertum miała p. Zawadzka sporo siniaków na rękach i na — biodrach. Wreszcie jednak, korzystając z zamieszania, zdołała się wyrwać i uciec, — a pan Skrzetuski odjechał jak niepyszny.

Pociągnęło to za sobą przykry proces ze skargą o najazd, gwałt i usiłowane porwanie szlachcianki — i ostatecznie zaoczny wyrok na infamję. Miało to jednak znaczenie czysto platoniczne, Skrzetuski bowiem jako żołnierz pozostawał pod jurysdykcją hetmańską.

Tego epizodu brak u Sienkiewicza i na tym jedynie punkcie możnaby przyznać poczęści rację dr. Górce.

Ale Sienkiewicz, jako powieściopisarz, mógł sobie pozwolić w dziele swem na pewne dodatki i fikcje, potrzebne mu dla ożywienia fabuły. Bądźcobądź jednak, samą postać Skrzetuskiego nakreślił wiernie, opierając się na dostępnych mu źródłach historycznych. I jak się okazuje z broszury dr. Lasockiego, znał ich i przestudjował więcej, niż dr. Górka, który niefortunną swą kampanję przegrał na całej linji.

(N.)



Podpis Skrzetuskiego na akcie darowizny dla siostry w r. 1661

„Piękna wyspa" na Pacyfiku

O „pięknej wyspie" — jak ją nazwali żeglarze portugalscy, którzy koło roku 1600 pierwsi na niej wylądowali, — niewiele się u nas wie i mówi. Pamiętamy ją może z historji awanturniczych wypraw Beniowskiego, który w roku 1771 zawinął do zachodnich brzegów Formozy i usadowił się tam na pewien czas jako udzielny władca.

Przechodziła Formoza zmienne losu koleje. Odkryta przez Portugalczyków dostaje się wkrótce pod władzę Hiszpanów, którzy zkolei po długich i zaciętych walkach zmuszeni byli ustąpić miejsca nowym panom wyspy, Holendrom.

W roku 1662 wybucha groźne powstanie krajowców, na których czele staje odważny i dzielny bohater narodowy, Koxinga, chiński generał, syn pirata - Chińczyka i Japonki. Mały garnizon holenderski, zamknięty we forcie Zeelandia, broni się bohatersko, odpierając ataki 50-krotnie silniejszego wroga. Wreszcie jednak, pozbawiony żywności i wody, zmuszony jest kapitulować.

energiczne protesty do rządu chińskiego grożąc okupacją wyspy. Ale w myśl przysłowia „gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta", — tę rywalizację Anglji i Ameryki wyzyskała sprytnie.... Japonja.

W roku 1873 organizuje Japonja ekspedycję karną na Formozę, z racji zrabowania przez piratów japońskiego okrętu. Nie miała jednak jeszcze odwagi okupować wyspy — wobec wrogiego stanowiska Anglji i Ameryki. Dopiero po wojnie chińsko - japońskiej, w roku 1894 w myśl traktatu pokojowego Formoza przechodzi pod władzę Japonji, stając się częścią składową cesarstwa.

* * *

Wyspa, obszarem swym większa od Holandji, jest stosunkowo słabo zaludniona. Na ogólną liczbę około 4 miljonów mieszkańców jest zaledwie 100 tysięcy Japończyków i paręset Europejczyków. Reszta, to Chińczycy, którzy wyemigrowali tam w ciągu ostatnich dwustu lat, — oraz jakieś 80 tysięcy



Starożytne budowle chińskie w Tainan

Koxinga zostaje proklamowany królem, organizuje armję i flotę, poczynając sobie zuchwale, nakładając nawet roczny haracz na wyspy Filipińskie, okupowane wówczas przez Hiszpanów.

Po jego śmierci wyspa przechodzi wkrótce pod władzę Chin. Jest to okres zupełnego upadku. Staje się rajem dla rozmaitych korsarzy i awanturników. Okręt, który rozbił się u wybrzeży Formozy, padał bezapelacyjnie ofiarą okrutnych tubylców, którzy rabowali ładunek okrętowy, a wszystkim białym ucinali głowy.

Okoliczność tę próbowały wyzyskać Stany Zjednoczone i Anglja, wnosząc

krajowców, kryjących się w niedostępnych górach i lasach.

Spośród mieszkańców wyspy większość wyznaje buddaizm i szyntoizm. Misje katolickie, istniejące na Formozie od r. 1627 nie mogą wykazać się większemi rezultatami swej pracy.

Dla Japonji, cierpiącej oddawna na przeludnienie, przedstawia Formoza ogromną wartość, jako znakomity teren kolonizacyjny.

Posiada też Formoza bogate skarby naturalne. Przedewszystkiem ogromne odwieczne lasy, dotychczas prawie nie eksploatowane. Plantacje ryżu, tytoniu, bambusu, trzciny cukrowej i herbaty



Formoza: Nadziemne mieszkania tubylców

dają zajęcie tysiącom robotników. Jednym z największych skarbów wyspy są rozległe plantacje drzew kamforowych, dzięki którym zajmuje Japonja dominujące stanowisko na rynku światowym kamfory.

Położona na ważnym i ożywionym szlaku morskim, wiodącym z Japonji do Chin, Jawy i wysp Filipińskich, posiada nadto Formoza duże znaczenie strategiczne. Doceniają to w pełni Japończycy, którzy z wyspy tej robią bazę operacyjną dla swej floty na wypadek konfliktów z zazdrosnymi sąsiadami.

Jak wszędzie w swych koloniach tak i na Formozie Japonja stara się usilnie o podniesienie kultury i dobrobytu kraju. Nowa stolica, Taihoku, jest miastem nowoczesnem, z szerokiemi ulicami, parkami, świątyniami, budynkami publicznemi. Linja kolejowa przecina całą wyspę, dochodząc do portu Kirum, wyposażonego we wszelkie najnowsze urządzenia techniczne, a będącego już dziś jednym z najważniejszych i największych portów Dalekiego Wschodu.

Jedną z osobliwości wyspy są rozrzucone po niej liczne budowle pochodzące z czasów panowania Holendrów i Chińczyków. Ci ostatni mają też swoją własną dzielnicę w Taihoku, — dzielnicę, w której Chińczyk, głuchy na trąbki pędzących w pobliżu samochodów i na komunikaty radjowe, płynące z japońskiej stacji, może spokojnie pogrążyć się w kontemplacji przed posągiem Buddy.

(k.)

Ciekawostki szwajcarskie

Co kraj, to obyczaj. Człowiek żyły z zwyczajami na terenie własnego kraju, obserwuje z zajęciem wszelkie nieznane przejawy na obczyźnie. W Szwajcarji jest ich specjalnie dużo i odrębnych.

Fakt wielkiej uczciwości i sumienności Szwajcarów znany jest szeroko i nie zalicza się do niezwykłości. Kuferki czy jakiekolwiek przedmioty można zostawić na peronie, w poczekalni czy na ulicy zupełnie spokojnie, po kilku godzinach zastanie się je nietknięte. Podróż pociągiem, tramwajem czy statkiem jest do możliwych granic uwygodniona. Na dworzec i każdy peron wolno wejść zawsze bez peronówki, biletów nie kontroluje się ani przy wejściu, ani wyjściu, dopiero raz jeden w pociągu konduktor ogląda je i odbiera przed stacją przeznaczenia. Czystość pociągów tak pospiesznych jak osobowych podmiejskich jest wzorowa. Szyby błyszczące, linoleum podłóg lśniące, umywalnie nietylko z wodą, ręcznikami, lustrami, i mydłem, ale nawet na niektórych linjach z ciepłą wodą, która płynie ze zgrabnego kureczka! W przedziałach fotografje, pisma ilustrowane, reprodukcje uzdrowisk.

Swoboda stosowana jest nietylko do ludzi ale i do zwierząt. Piękny ogród zoologiczny na Zürichbergu trzyma zwierzęta prawie na swobodzie, za wyjątkiem zimy, kiedy muszą być w klatkach. Pozatem otoczone są one tylko głębokim otworem z wodą i wśród lasów chodzą sobie wolno. Okazy lwów i tygrysów są tam wyjątkowo wspaniałe, a akwarjum z przepięknie urządzonem dnem morskiem, z masą ryb, meduz, żółwi, oryginalnie oświetlone i „zadrzewione" roślinami wodnemi, — budzą ogólny podziw, natomiast krokodyle, też rzadki stosunkowo w zoo nabytek, napełniają widzów przerażeniem i obrzydzeniem.

* * *

Z jedzeniem jest tutaj odwrotnie jak w Polsce: je się nie po trochu a często (pięć razy dziennie), ale rzadko a dużo. Zwłaszcza Szwajcarja francuska a na jej czele Genewa objada się poprostu. Najskromniejszy obiad składa się z czterech dań: więc po zupie przychodzi ryba, omlety, lub paszteciki, potem drób czy pieczeń i legumina, paradna zawsze, względnie klosz owoców albo jedno i drugie. Przy droższych menu podają zwykle przed zupą szereg pikantnych i bardzo smacznych przystawek, jak rydzyki, sardynki, pikle, sery, pomidory; sałatki. Sałaty obowiązkowe przy każdem mięsie; są one tu bardzo smaczne, w najrozmaitszych gatunkach. Na deser prócz owoców dają orzechy i migdały, co razem smakuje nadzwyczajnie. Piwo i wino nie należy wprawdzie do obiadu, ale wypada je pić koniecznie. Gdy kiedyś kazałam sobie podać wody, kelnerka wypatrzyła się na mnie jak na warjata.

Kina szwajcarskie „urzędują" późno, nie spieszą się. Najpopularniejsze jest chodzenie na program wieczorny. Zaczyna się on o godzinie ½ do 9-tej. Najpierw przez pół godziny wyświetlają bardzo pomysłowe reklamy. Potem idzie szereg komedyjek, grotesek rysunkowych, zapowiedzi nowych filmów i t. d. Nareszcie około 10-tej zaczyna się właściwy program. W połowie dramatu jest przerwa i widzowie emigrują na pół godziny do bufetu kinowego, gdzie popija się herbatę czy kawę.

Byłam świeżo w najlepszem kinie Genewy „Rialto". Jest to nie kino, ale prześliczny luksusowy teatrzyk, urządzony wprost z przepychem, pełen palm w kuluarach, kolorowych świateł, parterów i półpięter. Bufet wyłożony różowemi tapetami i zastawiony milutkiemi różowemi i szaremi stoliczkami, jest śliczną cukierenką, gdzie z rozkoszą spędza się owe pół godziny na kawie i rozmowie. Wszędzie rozbrzmiewa prawdziwie piękny akcent francuski, a służba jest nietylko uprzejma i wytresowana wspaniale, ale ubrana w galowe jakieś uniformy.

Po owej koniecznej przerwie ciągnie się druga część filmu do godziny ½12-tej w nocy. Nie każdy ma tyle czasu i cierpliwości, by odsiedzieć taki trzygodzinny program. Jeżeli jednak ma ochotę, to odbędzie prawdziwie wytworną sesję. Panie stroją się specjalnie jak do teatru, a koło północy czekają przed Rialto luksusowe limuzyny.

* * *

Kantony niemieckie, francuskie i włoskie to jakby trzy odrębne państwa w jednem, różniące się nietylko językiem, ale i wyglądem i zwyczajami. Typy n. p. Zürichu, Berna czy Genewy są zupełnie odrębne, typy tak ludzi, jak pojazdów, ulic, sklepów. Jednakie są tylko pociągi, zawsze śmiesznie punktualne, rozpędzone i czyściutkie. Napisy, oznaczające perony, czasy odejścia pociągów i t. d. są tak ogromne, tak wyraźne, że nigdy pytać się o nic nie potrzeba.

Sport zimowy jest ogólnie i szeroko propagowany. Nie wolno, by n.p. ubogie dzieci, pragnące i mogące jeździć na nartach, nie posiadały sprzętu narciarskiego. Ponieważ jednak do całości potrzeba jeszcze i butów i ubrania, istnieją specjalne komitety, zajmujące się rozdawaniem między niezamożne dzieci i młodzież wszystkich potrzebnych do sportów zimowych akcesorjów. Rząd szwajcarski pragnie, by wszyscy obywatele cieszyli się radościami zimy i by najubożsi nie byli przez los pokrzywdzeni.

Wobec tak humanitarnych zasad, nie widuje się zupełnie w Szwajcarji dziadów, żebraków, kalek.

Na rogach ulic nie wystawają żebrzące dzieci, matki z niemowlętami i starcy, co u nas tak przykre robi wrażenie. Po dworcach nie włóczą się obdartusy i bezdomni, których przepędzać musi policja. Ta wszyscy ci biedacy mają swoje domy, odpowiednie pomieszczenia, szpitale i ochronki. Bezrobotnym dobrze się dzieje w zamożnej Szwajcarji. Dostają 8 franków dziennie (14 złotych) i mogą cierpliwie i spokojnie szukać pracy.

Ciekawy zwyczaj zaprowadzono obecnie w górach. Ponieważ tak zimą jak latem wydarza się w Alpach wiele katastrof na ścianach, graniach czy wskutek lawin — nad pewnemi grupami górskiemi, zwłaszcza gdy wiadomo, że wyruszyła poważniejsza wyprawa, — krążą nisko aeroplany, lornetujące ściany i granie. W razie wypadku, złej pogody, czy zasłabnięcia turystów, aeroplany natychmiast dają znać pogotowiu ratunkowemu. Jedni twierdzą, że jest to bardzo miły zwyczaj i że na najstraszniejszych ścianach czują się pod opieką, — inni mówią, że nie poto idą w górskie pustkowia, by nawet tam być pod obserwacją i kontrolą. Jakiekolwiek są zdania, fakt ten świadczy jednak o prawdziwej trosce i turystów.

Te i inne ciekawe szczegóły zaraz na wstępie nasuwają się obcemu przybyszowi, który może snuć z nich różne wnioski, a nieraz i dobre przykłady dla swoich.

Zürich, w styczniu.

Marja Sandoz.

Cztery grupy krwi ludzkiej

Jedną z nowszych stosunkowo zdobyczy medycyny jest transfuzja krwi, stosowana z doskonałym wynikiem w niektórych chorobach oraz w wypadkach silnych krwiotoków.

Proceder ten znany był już w XVII wieku, następnie jednak został zarzucony, a w niektórych państwach nawet wręcz zakazany. Gdy bowiem w jednych wypadkach dzięki transfuzji krwi udawało się uratować życie ludzkie, — to w innych zabieg ten spowodował szybką i nieuniknioną śmierć.

Sprawa cała postawioną została we właściwem świetle dopiero z chwilą, gdy uczeni zabrali się do porównywania krwi poszczególnych osób i badania jej właściwości.

Pokazało się, że całą ludzkość można podzielić na cztery grupy, różniące się między sobą bardzo wyraźnie pod względem reakcji ich krwi. Różnice te idą tak daleko, że wprowadzenie do krwiobiegu człowieka należącego do jednej grupy, — krwi innej grupy może mieć skutek śmiertelny.

Śmierć następuje z tego powodu, iż czerwone ciałka krwi ulegają aglutynacji pod wpływem surowicy krwi innego człowieka, co pociąga za sobą tworzenie się zatorów w naczyniach krwionośnych.

Jak wykazały badania, w ciałkach krwi znajduje się specjalna substancja zwana „aglutyniną" i jej to właśnie przypisać należy to specyficzne działanie. Co więcej, istnieje aglutynina w dwojakiej postaci, jako aglutynina „A" i aglutynina „B".

To właśnie stanowi podstawę do podziału całej ludzkości na cztery grupy, o których wyżej mówiliśmy. Są to mianowicie grupy:

1) grupa O, do której należą ludzie o krwi wolnej zupełnie od aglutyniny,

2) grupa A, ludzie, których krew zawiera aglutyninę A,

3) grupa B, ludzie, których krew posiada aglutyninę B, — i wreszcie

4) grupa AB, ludzie, w których krwi znajduje się zarówno aglutynina A jak i B.

Znajomość tych faktów pozwala dziś przeprowadzać transfuzje krwi bez najmniejszego ryzyka: próba krwi upewni nas każdorazowo, czy dawca krwi i pacjent należą do tej samej grupy i czy zabieg jest dopuszczalny.

* * *

Badania te, przeprowadzane przez uczonych na obu półkulach, dały bardzo interesujące wyniki i w innym kierunku. Pokazało się mianowicie, że ten podział na cztery grupy nie ma nic wspólnego z podziałem ludzkości na rozmaite rasy. Zarówno w rasie białej, jak żółtej czy czarnej znaleźć można przedstawicieli wszystkich czterech grup. Dowodzi to, iż niema na całej kuli ziemskiej żadnej rasy absolutnie czystej, co zwłaszcza w Europie występuje w bardzo silnym stopniu.

Gdybyśmy chcieli szukać przedstawicieli ras zupełnie czystych, — trzebaby nam iść w głębie puszcz Ameryki, Indyj holenderskich lub Filipin. Tamtejsi tubylcy, którzy dotychczas nie zetknęli się z cywilizacją i żyją w zupełnem odosobnieniu, należą wszyscy bez wyjątku do grupy O.

Ale przedstawicieli tej grupy znajdziemy też i w innych częściach świata, i to w dość dużym stosunku.

Grupa A zdaje się przeważać wśród mieszkańców Europy zachodniej. Z faktu tego próbowano nawet ukuć argument co do rzekomej wyższości rasowej tych krajów. Argument ten upadł jednak z chwilą, gdy stwierdzono występowanie grupy A u niektórych prymitywnych mieszkańców Australji.

Grupa B występuje najsilniej w rasie żółtej co jednak nie wyklucza, że przedstawicieli tej grupy znaleźć można i wśród rozmaitych narodów europejskich.

* * *

Wreszcie zaznaczyć należy, że przynależność do takiej czy innej grupy stanowi niezmienną cechę każdego człowieka przez całe jego życie.

Co więcej, jest to cecha poniekąd dziedziczna: dziecko, wykazujące we krwi aglutyninę A lub B, musiało ją odziedziczyć po ojcu lub matce.

Fakt ten posiada duże, a decydujące znaczenie w procesach, gdzie idzie o stwierdzenie ojcostwa, a tego rodzaju dowód dopuszczalny jest w niektórych państwach, jak Sowiety, Włochy, Niemcy.

Jak z powyższego wynika, podział ludzkości na cztery grupy wedle składu krwi posiada duże znaczenie nietylko dla lekarza, ale i dla prawnika i dla badacza historji ludzkości.

(r.)

„Ziemia jest płaska!"

Anglja jest pełna oryginałów, którzy nieraz całe życie poświęcają jakiejś pseudonaukowej teorji, głosząc ją ustawicznie, urządzając w tym celu zebrania, pisząc książki dla jej udowodnienia i wydając na ten cel nieraz całe majątki. Są ludzie, twierdzący, że Anglicy pochodzą od zaginionych dziesięciu pokoleń żydowskich; co pewien czas pojawia się niby - uczony, dowodzący, że dzieła Szekspira napisał lord Bacon, lord Rutland, lord Oxford czy któryś inny arystokrata współczesny; kwadratura koła i perpetuum mobile mają swoich wiernych adeptów; niebrak i takich, co święcie wierzą, że ziemia nie jest okrągła, lecz płaska.

W latach ośmdziesiątych zeszłego wieku głosił to niejaki William Hampden i zrujnował się kompletnie na propagandę antykopernikowskich teoryj. W r. 1905 reprezentowała jego pogląd lady Blount. Urządziła ona w Exeter Hall wiec, na którym dowodziła, że ziemia nie może być okrągłą, bo przecież ludzie na drugiej półkuli chodziliby do góry nogami. „Jeżeli w Antypodach mieszkańcy wiszą głową nadół, to dlaczego nie wiszą tak samo, gdy przyjadą do Londynu?".

Rodziną, w której wiara w płaskość ziemi przechodzi z pokolenia w pokolenie, był dom Edgellów. Przed paru tygodniami umarł William Edgell. W testamencie napisał, że „starał się przez pięćdziesiąt lat swego życia pozostać wiernym przysiędze, złożonej ojcu, gdy ten leżał na łożu śmierci, że to wodni".

W. T.

Bigamista pod mieczem katowskim

Szesnasty wiek dobiega kresu. Wśród wielu spraw kryminalnych, jakie bujny nurt życia w r. 1599 wyrzucał na brzeg sądowej przystani we Lwowie, na wokandzie sądu miejsk. „iudicium arduum criminale bannitum“ znalazła się na kilku sesjach sprawa o bigamję.

Przed sądem stanęła mieszczka lwowska, Anna z Lenartów, żona Wawrzyńca Lisowicza z Kulikowa w towarzystwie swego ojczyma Jakóba Koronki i przez swego zastępcę prawnego, Krzysztofa Lewickiego, wniosła oskarżenie przeciw swemu mężowi o bigamję w tych mniejwięcej słowach:

— „iż on ją opuściwszy, zapomniawszy bojaźni Bożej i powinności chrześcijańskiej, także i ślubu swego, który uczynił naprzód Bogu, jakoteż onej w rękach kapłańskich, mieszkając z nią społecznie kilka lat i dziatki w stanie małżeńskim spłodziwszy, znowu pojął sobie za żonę w Rozdole niejaką Christinę, która tu przed sądem W. M. stoi“..

Sprawę powyższej bigamji oświetla aśniej przedstawione przez oskarżającą stronę pismo burmistrza, wójta i rajców miateczka Rozdołu, stwierdzające, iż po św. Agnieszce przyjechał do Rozdołu Wawrzyniec, Lisów syn z Kulikowa, a występując pod nazwiskiem Lisickiego, czynił starania o rękę Cristiny, wdowy po Łukaszu, przyczem zaznaczył, iż jest młodzieńcem, zatem wolnym i przedstawił dwu świadków Balzera Bednarza i Stanisława Tandytnika, obywateli lwowskich, którzy potwierdzili, iż Wawrzyniec jest wolnym. Wobec tego — jak głosi pismo urzędu miejskiego w Rozdole — „zezwoliliśmy na ślub z sąsiadą naszą, wdową Cristiną“ — a chociaż kapłan wzbraniał się — dopomogliśmy zdrady takiej i chytrości tak tego oto Wawrzyńca, jak i fałszywych i złych świadków jego, nie spodziewając się, co z wielką żałością i ze wstydem naszym niemałym W. M. tak duchownym, jak i świeckim oznajmujemy i sprawiedliwości słusznej żądamy“....

Zastępca Anny, pierwszej żony, przedstawiwszy sądowi miejskiemu pismo urzędu w Rozdole, powołał się na treść w niem zawartą a ponieważ „Wawrzyniec wystąpił przeciw prawu Bożemu i św. stanowi małżeńskiemu“ — tedy prosił, aby wedle prawa był karany.

Sąd przystąpił do przesłuchania oskarżonego Wawrzyńca, który zaraz na wstępie przyznał się:

— „tak jest, że ja mając tę Annę Lenartówną, żonę własną, pojałem sobie tę Cristinę za żonę, ale tylko z namowy tej samej Cristiny“... Zeznał dalej, iż jechał z Bednarzem do Stryja po drzewo, a gdy stanęli w Rozdole w gospodzie Krystyny, wówczas Bednarz począł go namawiać, aby pojął gospodynię za żonę. Oskarżony pragnął przedewszystkiem dowiedzieć się, czy posiada onja jaki majątek, a gdy towarzysz zapewnił, iż jest właścicielką domostwa, krów, wieprzów itd., zgodził się na jego propozycję. Młodej wdówce rozdolskiej też — jak widać — wpadł w oko obywatel lwowski, to też przyjęła obu bardzo gościnnie i jak zeznawał dalej oskarżony:

— „nagotowała potem jeść i jedliśmy i obnocowali. Potem, gdy się już czeladź uspokoiła, ona przyszła do mnie i takem od owego czasu nie mógł wytrwać bez niej, żem musiał odjechawszy, zaraz przyjechać“...

I przyjechał ponownie, zabrawszy ze Lwowa Stanisława Tandytnika, którego w Rozdole przedstawił jako swego brata, by poświadczył, iż jest wolnym i żadna przeszkoda nie tamuje mu drogi do kobierca ślubnego. Za powyższą rolę już z góry ofiarował Tandytnikowi... „krowę“ z posagu rozdolskiej wdówki. Niebawem nastąpił ślub i huczne wesele, poczem młoda para wyjechała w podróż poślubną do Kamieńca.

Po przesłuchaniu oskarżonego Wawrzyńca zeznawała świeżo przez niego poślubiona Krystyna, która twierdziła, iż nie wiedziała o tem, by Wawrzyniec był już żonaty, polegała bowiem na zapewnieniach Bednarza i Tandytnika, przyczem nawet żona tego drugiego zapewniała ją, iż Wawrzyniec jest wolnym — „przeklinając się, aby tego dziecięcia nie nosiła, które ma w żywocie“ — jeśli nie mówi prawdy.

— „Jam temu wierzyła — zeznawała dalej Krystyna — i brałam z nim ślub. Księdzam się też radziła, który kazał mi zań iść. Wyjaśniła wkońcu sprawę wyjazdu do Kamieńca. gdy bowiem żądała, aby jechał z nią do Lwowa, gdzie miała do podjęcia jakieś pieniądze, Wawrzyniec z obawy przed odpowiedzialnością, wyjechał z nią rzekomo do Lwowa, a z drogi zboczył do Kamieńca.

Pierwsza żona, Anna która w czasie sześcioletniego współżycia z mężem Wawrzyńcem miała z nim czworo dzieci, w końcowem słowie żądała ukarania oskarżonego, — „by więcej nie śmiał to czynić“ — na czem sąd odroczył rozprawę.

Na drugiej rozprawie, gdy obie strony podtrzymywały swe, poprzednio złożone zeznania sąd ferował wyrok:

— „...iże się sam do tego zna, tedy go prawo winnym znajduje pokarania gdyż za ten wtórem żenieniem, mając żywą żonę pierwszą, przestąpił przykazania Boże. przestąpił przeciwko kościołowi który broni przed wielożeństwem, oszukał kapłana i kościół, w którym ślub brał, czego prawa tak wszystkie Boże, jako i pisane bronią to karać każą. Zaczem wpadł w krzywoprzysięstwo i cudzołóstwo, przez co zły przykład dał z siebie wielożeństwa, tedy z tych i inszych przyczyn ma być na gardle mieczem karany tym dekretem prawnym środkującym“.

Protokół rozprawy kończy się krótką wzmianką: „Quod decretum ad executionem est deductum atque idem Laurentius est ingulatus“.

Tak zginął Wawrzyniec z Kulikowa za bigamję pod mieczem katowskim. Na tym wyroku śmierci nie zakończyła się jeszcze sprawa ale stanowiła tenor dwu dalszych rozpraw, na których w roli oskarżycielki występowała Krystyna z Rozdołu przeciw Stanisławowi Tandytnikowi. Na pierwszej z tych rozpraw oskarżycielka wywodziła:

— „iż on przyjechawszy do Rozdołu raił jej tego nieboszczika Wawrzyńca za męża, powiadając, iż był młodzieńcem przez co do szkód niemałych przyszła, których sobie łacnie na 40 zł petens recompensam ipsorum illo sibi decerni“

A Stanisław Tandytnik bronił się, iż nie wiedział, jakoby nieboszczik Wawrzyniec miał żonę, że go sam we Lwowie polecił przytrzymać i do więzienia miejskiego odprowadzić.

Na drugiej rozprawie sąd miejski ferował wyrok:

— „a iż w omylnych rzeczach świadectwo swe za prawdziwe udawał, przeto za to sześć niedziel ma siedzieć, które wysiedziawszy, ma być od miasta wiecznemi czasy precz odkazany i nie ma się tu więcej bawić“. — Wreszcie w sprawie zwrotu przez Tandytnika 40 zł., których domagała się Krystyna od Tandytnika, nastąpiła pomiędzy niemi ugoda. Nadobna wdówka rozdolska obniżyła znacznie swe żądania i zgodziła się na 8 zł., które oskarżonemu pokwitowała.

Takim był przebieg sprawy Wawrzyńca z Kulikowa przed sądem lwowskim u schyłku szesnastego stulecia. — Bigamista zginął pod mieczem katowskim. jego żona Anna z Lenartów z mężatki pozostała wdową wdowa Krystyna z Rozdołu po krótkiem współżyciu małżeńskiem powróciła do swego stanu, fałszywy świadek, Stanisław Tandetnik przesiedział sześć tygodni w więzieniu i z miasta został po wieczne czasy wyświecony. O dalszych dziejach tych osób milczą pożółkłe karty ksiąg miejskich...

ALEKSANDER MEDYŃSKI

W „cichem studjo“ u pani Nahlik

Starzy słuchacze młodej lwowskiej rozgłośni pamiętają dobrze, jaką nowością i niespodzianką była dla nich w lecie 1931 r. audycja „Szlakiem melodji przez pół Europy“. Z głośników rozległ się znany im już dobrze głos speakerki p. Celiny Nahlik, która jednak tym razem występowała przed mikrofonem nie jako speakerka, lecz jako autorka i wykonawczyni zupełnie nowego rodzaju audycji, nieistniejącego dotychczas w radjofonji polskiej, mianowicie reportażu muzycznego. Płynące na falach eteru słowa i melodje przeniosły nas ze Lwowa do kraju fjordów, potem, potem do Paryża, zawiodły nas na południe — do słonecznej Italji... Nowość ta zdobyła sobie ogromne powodzenie. Gratulowano autorce szczęśliwego pomysłu i świetnego wykonania.

Zachęcona sukcesem, przystąpiła p. Nahlik do tworzenia nowych reportaży. Były one przez szereg miesięcy jakby monopolem rozgłośni lwowskiej. Dopiero w r. 1932 audycje podobnego typu zaczęły zjawiać się w programie innych naszych rozgłośni.



Od pierwszego reportażu p. Nahlik upłynęły cztery lata. W okresie tym usłyszeliśmy cały szereg pięknych jej audycyj, w których żywy i barwny tekst literacki zlewa się z muzyką w pełną uroku całość. Wyrobiły one sobie swoją publiczność, która z niecierpliwością czeka na każdy nowy reportaż.

Gdy niedawno usłyszeliśmy „Operę z cichego studja“ czarowne, związane z wspomnieniami dzieciństwa, dzieło Humperdincka w świetnym skrócie pani Nahlik, podążyłem z gratulacjami do jej „cichego studja“. Prawdę mówiąc — nie całkiem ciche jest to studjo speakerowskie. Z głośnika płynie głos prelegenta, wygłaszającego odczyt w sąsiedniem studjo. Wpada „na minutkę“ któryś z kolegów i zostaje. Rozpoczyna się ożywiona rozmowa, którą p. Nahlik przerywa nagle ostrzegawczym gestem. Wszyscy milkną i zamierają w bezruchu, a p. Nahlik obwieszcza mikrofonowi: „łączymy się z Warszawą, skąd nadany będzie koncert“. Koncert trwać będzie 30 minut. Pani speakerka może nam poświęcić chwilę swego czasu.

Przerwana rozmowa toczy się dalej. Dowiadujemy się kilku ciekawych szczegółów. Pomysł pierwszego reportażu powstał u p. Nahlik pod wpływem zachęty dyr. Petry'ego, który doradzał jej stworzenie audycji muzycznej. Pomysł ten skrystalizował się na podstawie niezwykle plastycznych opowiadań pewnej osoby, która wróciła z włóczęgi artystycznej po Europie.

— Jak długo trwa praca nad reportażem? Kilkanaście dni. Czasem dłużej. Najwięcej trudności sprawia wyszukiwanie płyt, zwłaszcza gdy chodzi o t. zw. sylwetki muzyczne. Płyt, nagranych przez Paderewskiego, Didura, Sembrich - Kochańską, niema już w handlu. Są to prawdziwe białe kruki, a zdobyłam je tylko dzięki niezwykłej uprzejmości radjosłuchaczy, którzy mi je wypożyczyli.

— Ile reportaży ma pani za sobą?

— Czterdzieści pięć.

— Ładna cyfra. Nie ma już chyba pani tremy po tylu audycjach?

— Tremy może nie mam, ale zawsze obawiam się jakiejś niespodzianki. Sama mówię i sama ilustruję to płytami. Czy trudno o pomyłkę? Coby się stało — mówi p. Nahlik z uśmiechem — gdybym zapowiedziała np.: „młoda wenecjanka zaśpiewała pieśń miłosną“, a z głośników popłynąłby... głęboki bas, bo przez pomyłkę zamieniłam płyty. Na szczęście nigdy mi jeszcze przypadek nie spłatał takiego figla.

— Dlaczego tak rzadko słyszymy śpiew pani?

— Nie tak znowu rzadko. Śpiewałam ostatnio w kilku reportażach, a przed paru dniami występowałam w Pol. Tow. Muzycznem podczas koncertu dla młodzieży.

Na stoliku — różnobarwne koperty. To listy od radjosłuchaczy. Zaczynam je przeglądać za zezwoleniem adresatki. Pełno w nich słów uznania. P. J. Stromenger pisze: „Reportaż Pani słucham zawsze z największą przyjemnością, należą one bezsprzecznie do najlepszych audycyj P. R.“ Prof. Szymonowicz oświadcza, że „gorąco przyklasnąć należy pomysłowi urządzania skrótów operowych z płyt, tem bardziej, że nie posiadamy we Lwowie własnej opery“. Listów takich dziesiątki.

— Listy — mówił p. Nahlik — sprawiają mi zawsze wiele radości. W operze widziałam ze sceny publiczność, tu widzę tylko mikrofon. Gdy nadaję audycję, jeszcze i dziś czuję się czasem nieswojo, gdy nie słyszę bezpośredniego oddźwięku wśród słuchaczy. Ale w radjo oddźwięk przychodzi później — to właśnie te listy.

Minęło pół godziny. P. Nahlik — autorka reportaży znika. Do mikrofonu zbliża się p. Nahlik — speakerka i ogłasza niewidzialnej widowni: „a teraz odczytam państwu program.“

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Monogramy, względnie inicjały pojawiają się już nawet na czarnych balowych pantofelkach. Niezależnie od tego widzi się je wszędzie: na jumperach bluzkach, torebkach, kapeluszach. I tu jednak konieczna jest właściwa miara: zadużo dobrego daje efekt zupełnie chybiony.

— Przy fryzurach balowych nosi się znów grzebyki najrozmaitszych kształtów. Są to nieraz prawdziwe arcydzieła sztuki złotniczej, sporządzone ze srebra, a ozdobione u góry brylancikami — niekoniecznie prawdziwemi.

— Nieładna, a bezsensowa moda golenia brwi, narzucona nam przez amerykańskie gwiazdy filmowe, pomału zanika.

— Do kostjumów narciarskich nosi się zgrabniutkie dżokiejki w żywych kolorach, przybrane metalowemi guziczkami.

Białe jedwabne bluzki przyozdabia się haftowanemi „talizmanami szczęścia". Może to być czterolistna koniczynka, czy świnka, czy nawet jakaś „szczęśliwa" cyfra.

— „Rouge et noir", to najmodniejsza kombinacja kolorów w kapeluszach. A więc np. czarny kapelusik filcowy z czerwonym „rajerem". Albo przy czarnym kapeluszu woalka tiulowa z czerwonym deseniem.

— Srebrne lub złote listki, ułożone misternie w kształcie wianuszka, są modną i efektowną ozdobą przy fryzurze balowej. Wogóle listki stają się bardzo modne. Sporządzone z błyszczącego metalu służą jako zapięcie do pasków, sukien, płaszczy i bluzek.

—x—



Czarna aksamitna suknia z modnym żakiecikiem futrzanym.

KĄCIK KOSMETYCZNY

Stawanie na palcach stóp

Są i tacy znawcy piękności kobiecej, którzy utrzymują, że kobieta „rasowa" musi mieć nogę cienką w kostce. Może i mają rację, — nie będziemy się o to spierać.

Faktem jest, że noga, w kostce nadmiernie gruba, wygląda zupełnie nieestetycznie. Ale noga smukła, cienka w kostce, to rzecz ważna nietylko ze względów estetycznych; to decyduje o pewnym solidnym, zrównoważonym chodzie. Dlatego też konieczne są pewne ćwiczenia, codzienne, nie trudne, ale systematycznie powtarzane, dla wyrobienia mięśni i nadania im elastyczności.

Ćwiczenia te wykonujemy naturalnie boso lub w wygodnych pantofelkach, — a są one dwojakie.

Pierwsze: Stajemy prosto, stopy zupełnie równolegle. Następnie pomału zupełnie stajemy na palcach stóp, — pozostajemy w tej pozycji jakie 7—8 sekund i wracamy do pozycji pierwotnej. Cała rzecz w tem, by podnoszenie stopy i opadanie jej odbywało się możliwie powoli. Za zasadę przyjąć trzeba, że mamy czas liczyć od 1 do 14, zanim staniemy zupełnie na palcach stóp.

Drugie ćwiczenie, to chodzenie na palcach stóp, w ten sposób, jakgdybyśmy próbowały dosięgnąć ręką jakiś przedmiot umieszczony bardzo wysoko.

Ćwiczenia to z początku nieco męczące. Wszystko razem zajmie nam zaledwie jakie pięć minut czasu. A tyle znajdziemy chyba w ciągu całego dnia! Praktykowane regularnie przyczyniają się znakomicie do rozwinięcia i wyrobienia mięśni oraz do nadania nodze w kostce zgrabnej formy.

Suknia popołudniowa

Jest to tzw. „petite robe", sukienka uniwersalna, w której równie dobrze można pójść z wizytą, jak na dancing czy brydż, a nawet na koncert lub do teatru.

Sukienka praktyczna, skromna, zawsze ładna, z którą możemy urządzać rozmaite „sztuczki", zmieniając tylko jej przybranie.

Materjał na nią? Miękka wełna, lub jedwab, najlepiej matowy, dość gruby. Jedno i drugie jednako modne. Wełna ma tę zaletę, że nieco tańsza, a znacznie szersza.

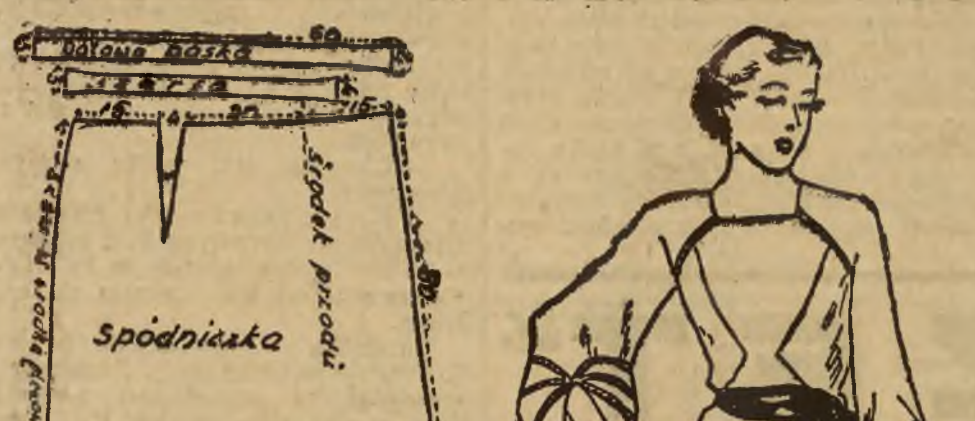
Długość zależnie od całej figury. Spódniczka dość krótka: 25 do 27 ctm. od ziemi.

Najodpowiedniejszem przybraniem będą modne ciągle, żaboty, bardzo szerokie plastrony lub żabocik u dołu zupełnie wąski, rozszerzający się ku górze. Naturalnie białe lub w kolorach jasnych, żywych.

Ważną rzeczą przy takich sukniach są paski. Mogą one być z celofanu przeźroczystego, ze skóry imitującej skórę słonia, lub — co najmodniejsze — z materjałów w dwóch żywych, kontrastowych kolorach. Tak np. do sukni czarnej pasek w kolorach czerwonym i fiołkowym, albo niebiesko - zielonym.

Nowoscią są również duże szarfy z materjałów „imprimé", w oryginalne desenie, naśladujące prymitywne rysunki zwierząt, kwiatów, liter itp.

I jeszcze słowo o materjałach wełnianych. Modne są ciągle wełny przerabiane z celofanem, ze złotą nicią, w kółeczka i groszki. Ale zaczynają się już pojawiać materjały imprimé, w kratki i szkockie, które z wiosną prawdopodobnie odniosą triumf na całej linji.



Elegancka suknia z crepe marocain z oryginalnym krojem rękawów

Kobieta wysoka

— unikać powinna sukien w kolorach zbyt jaskrawych, które silniej podkreślają całą sylwetkę.

— nie będzie nosić kapeluszy wysokich, ostro zwężających się ku górze, lecz raczej kapelusze o niskiej główce a szerokim rondzie.

— wygląda najlepiej ubrana w tunikę lub w kasak, ozdobiony u dołu jakąś bordiurą lub haftem. Szeroki pasek i kołnierz stanowią najszczęśliwsze uzupełnienie, przecinając linję sylwetki.

— będzie pamiętać o tem, że przy sukniach z materjałów prążkowanych muszą te prążki biec poprzecznie, a nie podłużnie.

— stosuje najchętniej do sukien materjały miękkie, spływające w malowniczych fałdach, tiule i muśliny.

Kwiaty na stole

Przy żadnem przyjęciu, czy to będzie obiad, czy popołudniowa herbatka, czy kolacja, nie powinno braknąć na stole kwiatów. Wydatek to niewielki, a jakże wdzięczny!

Tylko nie używajmy do tego wysokich wazonów, które wszystkim ciągle zawadzają, zasłaniając widok! Do dekoracji stołu jedynie odpowiedniemi są zupełnie płaskie wazony kryształowe, w kształcie wieloramiennej gwiazdy.

Układa się w nich kwiaty płasko, przyczem wskazanem jest dodać po małej gałązce cyprysu, dzięki czemu kwiaty trzymają się znacznie dłużej i wyglądają świeżo.

Warto też zaznaczyć, że stołu, zrobionego z jakiegoś egzotycznego drzewa w piękne desenie, nienakrywa się serwetą, lub obrusem. Przed każdym gościem kładzie się tylko małą koronkową lub haftowaną serwetkę. Tego rodzaju nakrycie dopuszczalne jest jednak tylko na popołudniowej herbatce.

PRAKTYCZNY KĄCIK

Plamy z herbaty najłatwiej wywabić odrazu zapomocą świeżego żółtka. Następnie trzeba obrus wyprać ciepłą wodą.

Sznury do bielizny, obrazów itp. stają się znacznie mocniejsze i trwalsze jeżeli zanurzymy je na chwilę w gorącym oleju lnianym.

Oczyścić dywany w porze zimowej jest rzeczą bardzo łatwą. Kładziemy dywan na czystym, świeżym śniegu i trzepiemy go niezbyt silnie, dzięki czemu wszelki pył i brud znika, wchłonięty przez śnieg. Oczywiście trzeba potem dywan starannie oczyścić ze śniegu zapomocą szczotki.

Meble pluszowe odświeża się, ścierając je szmatką zamaczaną we wodzie zmieszanej z octem w stosunku 3:1.

Poradnik dla gosposi

SOS FRANCUSKI DO RYB

Do kieliszka śmietany kwaśnej dać 3½ łuta (6 deka) masła niesolonego, potem 3 żółtka, łyżkę od kawy mąki, to wszystko rozprowadzić smakiem z ryb i dodać wreszcie trochę soku i skórki cytrynowej. Rozbijać w rondlu ciągle kopystką; gdy zgęstnieje, zaraz zdjąć z blachy i podać do ryb.

ŁAZANKI Z KAPUSTĄ

20 dkg mąki, 1 jajo, 10 dkg smalcu, 70 dkg kapusty (mała główka), 1 duża cebula, sól, pieprz.

Wyrobić ciasto, rozwałkować niezbyt cienko, a gdy przeschnie, pokrajać na dość drobne łazanki.

Poszatkować kapustę na krótkie kawałki, cebulę drobno pokrajać. Rozgrzać smalec, wrzucić kapustę i cebulę mieszając dusić, dopóki się lekko nie zrumieni. Łazanki ugotować na wrzącej wodzie, przelać zimną, dobrze osączyć, wymieszać z kapustą, posolić i zagrzać pod przykryciem przez kilka minut.

KOTLETY Z KASZY GRYCZANEJ I Z MIĘSA

10 dkg kaszy gryczanej, 25 dkg smażonej wątroby cielęcej, 2 jaja, 3 dkg tartej bułki, 5 dkg topionego masła, sól pieprz.

Kaszę ugotować na niezbyt sypko i wystudzić. Pokrajać na drobne kawałki smażoną wątrobę, wymieszać z kaszą, dodać jajko, osolić (można i trochę opieprzyć). Kształtować niewielkie ale grube okrągłe kotlety maczać w rozbitem jaju, otoczyć w bułce i smażyć na smalcu. Podawać z sosem lub z sałatą jarzynową.